

K. Hirszt Lew Pol.

Przegląd kulturalny

TYGODNIK RADY KULTURY I SZTUKI

48 (118) ROK III

WARSZAWA, 2—8 GRUDNIA 1954 R.

CENA 1,20 ZŁ.

W NUMERZE:

JERZY ŁOZIŃSKI — Choroba mitów
JAN KNOTHE — O postępie technicznym
JERZY KRASOWSKI — Warto się zastanowić
STEFAN TREUGUTT — O nietrudnej sztuce bicia w bęben
WŁADYSŁAW MACHEJEK — Najtrudniejsza decyzja
ZYGUNT WÓJCIKOWSKI — Było to w Sandomierzu
JANUSZ KOWALSKI — Sieć biblioteczna w Gdyni
ANDRZEJ SOROCZYŃSKI — Egzamin kandydacki
JERZY BROSKIEWICZ — Richter
BOLESŁAW MICHAŁEK — Słoń na biegunach
MIROSŁAW ŻULAWSKI — Kartki indochińskie (II)
JERZY PUTRAMENT — Sprawy do przewietrzenia

O agitacji, wyborach i sztuce

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

Kiedy mówimy o wyborach do Rad Narodowych myślimy zawsze o ludziach. Konkretnych ludziach, którzy od gromady do województwa decydować będą o szkołach, bibliotekach, dzieciach naszych, świetlicach, gospodarce komunalnej, mieszkaniach i o tysiącu innych spraw, w których człowiek spotyka się z życiem. Nie są to sprawy ani proste, ani łatwe. A tymczasem ludzie są prości. Wielu z nich w chwili, kiedy nagle zostali wysunięci na radnych, nie myślało o swojej przyszłej odpowiedzialności przed narodem. Dla wielu było to zupełna niespodzianka. Przez skromność niekiedy nawet się bronili ze zdziwieniem spoglądając na salę, która spośród szeregu kandydatów wybrała właśnie jego, chociaż zgłoszony został w ostatniej chwili w wyniku rzeczowej i poważnej dyskusji nad poprzednimi kandydatami. Takich wypadków było setki, tysiące. Wypadków świadczących, że naród czuje się gospodarzem w sobie i gospodarzem swojej władzy. I że nie łatwo jest zadowolić jego kryteria, jego wymagania. Zwłaszcza na wsł wybory stały się sprawdzianem ludzkich charakterów. Szukano i typowano najlepszych. Najlepszych w pracy i w opinii sąsiadów.

Wydało mi się, że prasa nasza nie zawsze doceniała właśnie ten aspekt wyborów. Nie zawsze doceniała, że w ogromnej większości wypadków dyskutowano nie nad jednym, początkowo zgłoszonym kandydatem, lecz nad wielu kandydatami i że wybór gromady z reguły niemal był trafny. Ogół gromady nie toleruje kumoterstwa, schematu i szablonu. Gromada wysuwała spośród siebie tych, którzy długoletnią pracą i skromnością dają najlepszą gwarancję, że nie zawiodą zaufania wyborców.

Jest to zjawisko w naszym życiu dobre. Zjawisko rzeczywiste, ludowej demokracji. Zjawisko przyszłości. Zjawisko, w którym władza ludowa jest władzą gromady, sprawą wszystkich obywateli. Wielką sprawą narodową.

W toku kampanii wyborczej wiele spraw i bolączek naszego życia poddano krytyce. Surowej i powszechnej krytyce. W ogromnej większości wypadków była to krytyka słuszna. I prasa słusznie poświęciła tej krytyce wiele miejsca. Nie zauważy jednak w dostatecznym stopniu dostrzegano, że pod aspek-

tem tej właśnie krytyki typowano ludzi. Nowych ludzi, wolnych od zarzutów kumoterstwa i kacykoństwa. Ludzi, których gromada znała.

Czy tak było zawsze? Na pewno jeszcze nie zawsze. Nierównomierną jest dojrzałość wszystkich terenów w naszym kraju i nierównomierną jest dojrzałość polityczna tych, którzy w terenie są organizacją wyborów. Byli jeszcze wypadki szablonu, oglądania ludzi oczyma ankiety, obawy przed ludową krytyką i dyskusją. Na szczęście były to wypadki coraz radsze. Przeważał nowy charakter kampanii wyborczej. Rzeczywistego typowania kandydatów przez gromady.

Przyjrzyjmy się tym ludziom. Są to robotnicy i chłopci, nauczyciele i lekarze, partyjni i w ogromnej większości bezpartyjni, mężczyźni i kobiety.

Główną ich siłą jest zaufanie narodu i poczucie odpowiedzialności za swoją pracę.

Wybór do Rady polega jednak nie tylko na wytypowaniu najlepszej jednostki, stanowi sam w sobie zjawisko powstania nowego kolektywu. Roboczego kolektywu, który w oparciu o kolegiatny system pracy będzie decydował o przyszłości określonej gromady.

I dlatego wybory są zaledwie początkiem nowego etapu, gdyż dopiero okres po wyborach będzie dla Rad pełnym egzaminem, polegającym na żmudnej, codziennej pracy. I właśnie w tej pracy będziemy musieli wziąć jak najczynniejszy udział.

Na Radach Narodowych spoczywa dziś ciężar pracy w terenie. Między innymi pracy kulturalno-oświatowej. Wielowarstwowej, trudnej i złożonej. Przy rozpiętych ciągłe jeszcze nożycach potrzeb i realnych możliwości, braku fachowców i rosnących stale wymaganiach w stosunku do roli wychowawczej sztuki i kultury.

Tej pracy musimy pomóc. Właściwy instruktaż, plan i mądry budżet — to jedna dziedzina pomocy. Urzędniczą, lecz nie najwęższą. Druga dziedzina pomocy, to konkretna działalność aparatu centralnego i krytyka oddolna. W tej krytyce i formułowaniu postulatów prasa powinna odegrać rolę nieposłuszną, powinna nareszcie zacząć mówić pełnym głosem o sprawach kultury. O konkretnych sprawach kultury w danym terenie.

Wybory do Rad Narodowych dyskusję tego rodzaju bardzo ożywiły. Lecz jednocześnie częstokroć sprowadziły ją na manowce ogólników i wykrzykiwań. Nowa struktura Rad Narodowych, zbliżająca się do każdej gromady, dyskusję i polemikę prasową powinna uczynić bardziej konkretną. Powinna uczynić z niej realną pomoc w działaniu.

Wiemy na przykład, że w akcji wyborczej zawodziły często świetlice. Zawodziły nawet i domy kultury. Dlaczego? Dlaczego nie zawsze i nie wszędzie stawały się one punktem oparcia dla pracy ideologicznej i organizacyjnej?

Na to pytanie spróbujmy odpowiedzieć.

Sądzę, że przyczyn jest kilka. Przypadkowa sieć świetlic, przypadkowi często ludzie i zły nawyk w organizowaniu pracy ideowo-politycznej. Świetlica czy też dom kultury nie może być zwykłym punktem agitacyjnym. Wówczas jego rola sprowadza się do powielania hasel. Warunkiem dobrej pracy świetlicy jest to, aby stała się ona centrum aktywności danej gromady. Aktywności i inicjatyw w kształtowaniu nowych form pracy. Budzenia poczucia wielkiej odpowiedzialności za to, co dzieje się w terenie, w

każdej dziedzinie życia gospodarczego, politycznego i kulturalnego.

Agitacji oczywiście nie należy lekceważyć. Lecz my żyjemy w dziesiątym roku naszej niepodległości i jesteśmy dostatecznie zaangażowani hasłami. Musimy dziś mówić faktami. Faktami braków i osiągnięć. Nowych metod pracy. Wspólnej odpowiedzialności za człowieka i naród. Demokrację i Pokój. Zebranie wyborcze to rozmowa o sprawach gromady. Część artystyczna w tych warunkach powinna już być tylko zwykłym, kulturalnym wypadkiem. Radością. Stąd też część artystyczna nie musi być dokuczliwą agitacją. Wręcz przeciwnie. Powinna budzić miłość do ojczyzny i socjalizmu nie przez werbalizm słowny, lecz właściwy nastrój, piękno i zadowolenie odbiorcy.

Rola wychowawcza sztuki nie polega na tym, że zastępuje funkcję artykułu, lecz że emocjonalnie, uczuciowo, przez działanie piękna, wiąże człowieka z ustrójem, w którym on rodzi się i dojrzewa. Agitacja natrętna odpływa. Mądra rozmowa z człowiekiem i piękne przeżycie wiążą.

Pod tym względem wybory do Rad Narodowych były niewątpliwie wielkim krokiem naprzód. Lecz jeszcze nie wszędzie i nie zawsze. I to powinno stanowić naukę na przyszłość.

Wybory do Rad Narodowych są wielkim aktem zaufania narodu. I tego kapitału nie wolno nam stracić. Należy umocnić i zbliżyć naszą współpracę z terenem. Codzienną współpracę z obywatelami naszego kraju. Przysłuchiwać się troskliwie nie tylko jego potrzebom, lecz również i jego myślom. Mądrym myśлом prostego człowieka. Mądrym myśłem tych ludzi, których wybieramy i tych, którzy wybierają. Myślam narodu należy wierzyć. Więcej nawet — należy korygować własną działalność w oparciu o doświadczenia kraju i doświadczenia ludzi. I o tych doświadczeniach i „poprawkach”, dokonanych przez naród należy szczerze mówić i szczerze pisać w prasie. Uważnie i spokojnie, analizując tego rodzaju dokuczliwe fakty, że na przykład w wielu domach kultury jest jeszcze niekulturalnie i brudno. Ze ludzie czują się obco wśród hasel na ścianie i braku konkretnej rozrywki, i pracy kulturalnej. Ze szukają książek, które leżą nieopatrzone i na próżno czekają na czytelnika. Ze daremnie czekają na teatr, który niejednokrotnie jeszcze sprawę wpuścić w sferę sztuki spycha na „ARTOS”, a ten z kolei na Wydział Kultury. Ze próżno marzą o filmie, który by głosem podawał nieskazy i nie na rękę się co chwila taśmnie.

I nade wszystko, żeby program artystyczny uporczywie nie agitował, lecz stanowił dla ludzi przyjemność. Ludzka i socjalistyczna przyjemność. Rzeczna i mądra.

Wielki akt narodowy wyborów nauczył nas niejednego. To znaczy i Ministerstwo Kultury i Sztuki, i prasę, i działaczy kultury. Z tej nauki należy wyciągać wszystkie niezbędne wnioski do decentralizacji teatrów, orkiestr, muzeów. Rady Narodowe powinny odpowiadać nie tylko za świetlice i biblioteki, lecz również za politykę teatralną i muzyczną, za działalność literacką i artystyczną swojego terenu.

Sądzę jednak, że podstawowym wnioskiem jest nauczyć się samodzielnie działać i myśleć. Wprawdzie to jest trudniej niż przepisywać okólniki, lecz myślenie w pracy kulturalnej trzeba. Łamać szablon. Nie bać się radości. Śmiechu. Piękna.

Wszystkie piękne kwiaty naszej kultury mają prawo w socjalizmie kwitnąć. Wszystkie. Jeżeli są naprawdę piękne. Socjalizm powinien wypełnić pracą, radością i pięknem. Prosty piękny i prostą radością prostego człowieka.



Rys. J. Dziędziłora

Szkic z zebrania wyborczego w woj. białostockim.

Zasadzki „wiejskiego tematu“

JERZY ADAMSKI

„Temat“ jako kategoria intelektualna uległ w naszej krytyce niezwykłej kompromitacji. Samo słowo nie jest nowe, ani nie nowa jest sprawa, którą ono reprezentuje w dziejach literackich. Minione okresy przełomu i następujące po nich epoki przynosiły literaturze nie tylko nowy styl, ale i nową tematykę, podobnie jak i w nauce przełom oznacza nie tylko nową interpretację, lecz przede wszystkim nowe fakty. Renesans wniosł do literatury świat materii i temat obyczajowy, klasycyzm — psychologię intelektualną, oświecenie — krytykę religii i stosunków społecznych, romantyzm — tematy patriotyczne i polityczne; i słusznie podkreśla się, że zasługa naturalistycznej powieści Zoli jest podjęcie po raz pierwszy spraw klasy robotniczej.

Nasza literatura powojenna weszła również w okres przełomowy. Silny i niepowstrzymany prąd wydarzeń rewolucyjnych, przebiegający przez Polskę wielu oczom ukazał najpierw ciasnotę, a nawet fałsz kosmopolitycznych ambicji literackich, niemoc i blahość tematów dożywanych z wnętrza intelektualnych doświadczeń, później zaś odsłonił perspektywę takiego rozwoju twórczości, którego istotnym sensem jest powstanie i rozkwit prawdziwej, wielkiej literatury narodowej. Stało się wówczas oczywiste, że kapitałny postulat, nad który jak najbardziej aktualnym i doniosłym, jest nowy temat literacki, tak zwany „temat współczesny“, to jest wielki i skomplikowany zespół spraw nigdy w literaturze naszej nie dotykanych, srodowisk nieznanych i trudnych, procesów społecznych, których bohaterami są ludzie pozbawieni dotąd swego literackiego portretu: odbudowa miast i nowe, socjalistyczne miasta, współczesna klasa robotnicza, wieś i chłop, nowy typ stosunków ludzkich w pracy produkcyjnej, przemiany społeczne i obyczajowe, polityczne i ideowe, a także nowe konflikty psychologiczne.

NARODZINY I KARIERA BOŻKA

Nad tą obszerną dziedziną nowych doświadczeń społecznych, które były i są nadal źródłem nowych tematów literackich, krytyka nasza nie umiała jednak zapanować. Słowem „temat“, posługując się więc zrazu w sposób ogólnikowy i nie dbały, niepostrzeżenie używano go zamiast innych terminów, takich jak „treść“, „fabuła“, „akcja“ o odmiennym znaczeniu i zakresie.

W tym zamieszaniu odrębność znaczeń tych terminów zwolna poczęła się zacierać, aż wreszcie wrażliwość na precyzyjną pojęć i czujność w przestrzeganiu jej rygorów stepała się dość powszechnie. Zapomniano nawet o „Słowniku Warszawskim“, gdzie temat tłumaczy się jako „założenie, myśl, najogólniejsza i podstawowa, z której wywiązują się cała treść mowy, pisma“. Krytycy zaczęli natomiast dawać do zrozumienia, iż słowo „temat“, jako szczególnie doniosłemu terminowi, należało się pewne specjalne traktowanie. Wkrótce uczyniono z „tematu“ samodzielną, niezależną, autonomiczną jakby kategorię intelektualną. Dopiero wówczas był on gotów, jako narzędzie łatwizny. Natychmiast wielu krytyków posłużyło się nim w obronie błędnych, złych nowel, złych dramatów, wykładając, że nie są one znów tak złe, że ci, którzy ich nie chcą czytać, lub nie odnoszą się do nich poważnie, z pewnością nie mają całej racji, a w każdym razie przeszkadzają rozwojowi realizmu socjalistycznego.

Rozumowanie dedukcyjne typu scholastycznego tę ma jednak wielką zaletę, że działa na oponentów osłupiająco i zrazu przeszkadza im myśleć. Krytycy skorzystali z tych objawów skuteczności swej metody i pospiesznie ogłoszwszy samodzielną kategorię intelektualną „temat“ za kategorię nadrzędną, za rodzaj bóstwa, bożka, ciela czy balwana, kazali wszystkim paść przed nim na twarz. Były to szczęści owej łatwej kariery. Wiadomo jednak, że „kto szczyt taki osiągnie, może już tylko spodziewać się upadku“.

Lecz nim to stało, iluż handlarzy rzuciło się na pospieszną a intratną fabrykację holdowniczych światków? A ileż dzieł szczerych i ze szczerego wysnutych serca uległo przewrotnej sile głupiego bożka? Tak właśnie było z wieloma bliższymi i dalszymi krewnymi „Rodziny Lebiódów“: z całą tą grupą utworów, które w serdecznym a poważnym i godnym szacunku trudzie usiłowały przedstawić współczesną wieś i życie wiejskie w naszym kraju.

RODZINA LEBIODÓW W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Przyniosły one naszej literaturze rzecz bardzo cenną i nie zastąpioną, bogate i trudne doświadczenie

chłopskie. Powieść „W rodzinie Lebiódów“ może posłużyć jako dobra reprezentacja tej grupy i dobry przykład typowych dla niej metod literackich, wartości i pomyłek. Sprawy ziemi, z jednego krawca wioski suchej, a namokłej z drugiego, tam piaszczystej i jałowej, tu zaś łaskawczej, sprawy pól, uprawy, narzędzi, podziału pracy, kwestie z obejściami, budynkami, gnojem na podwórku, a z pomocą sąsiadką, z podatkami, ze sklepem spółdzielczym, z inwentarzem — to wszystko w „Rodzinie Lebiódów“ żyje prawdziwie, kształtuje los, obyczaje i poglądy ludzkie, ich wzajemne stosunki, ich ambicje i nadzieje. Jest taka scena, kiedy Stacho Lebioda już o szarówe, w tajemnicy przed ojcem wywozi z podwórka gnojówkę. „Najpierw niech zrobią porządek u siebie, te co wyrzają się z tymi współzawodnicztwami...“ — tak poprzedniego dnia dopiekl Stachowi bogacz Leśniewski. Ale stary Lebioda także nienawidzi i współzawodnictwa, i nowych porządków, i rodzzonego syna, za to, że nie chce ulegać gospodarskiej woli ojca. Krew w nim zawrzała, gdy wyszedłszy na dwór, natknął się na własny wóz, którym Stacho wywoził gnojówkę. „Gdzie?! — krzyknął ostrym głosem, chwycił gwałtownie lejce, dął susem w bok, dyszel pękł, przerażony koń wydarł się z podwórka i miotając roztrąszkanym wozem, rwał prosto w obejście sąsiada. „Pod Lebiodą ugięły się nogi. Zrozumiał, co grozi Gnia demu. W takim rozruchaniu Grzyka i inne części wozu przetrząsały koniowi nogi... Dobijało się go nieraz ze łzami w oczach i z wściekłością na ślepy los...“ Więć go Stacho dopadł Gniałdem i osadził go w miejscu, stary Lebioda przycisnął się czule do końskiego karku, a na syna zamierzył się pięścią. — Ty suczy synu, konia chciałeś mi zmarować. Żeby cię nagła krew zalała, żebyś te swoje sztywne łapska posłamał... żebyś...“ W sercu Stacha „wypływały się bolesne nici łączące go dotąd z ojcem“.

Taka scena literacka, gdzie różne motywy i reakcje psychologiczne łączą się ściśle z materialnymi warunkami twardego bytu, gdzie koń, wóz, gnojówko, podjęzliwość i ambicja, nienawiść i upór stanowią treść jednolitą zdarzenia, taka scena wyraża trafnie i przejmująco owo doświadczenie chłop-

skie, jego odrębność, jego nie łatwo dająca się poznać, odczuć i zrozumieć specyfikę. W „Rodzinie Lebiódów“ nie tylko ekonomiczne, ale i psychologiczne czy intelektualne elementy tego doświadczenia odkryć można w każdym niemal rozdziale.

Wynika ono jednak z życia, którego burzliwy rozwój, gwałtowny ruch ku czemuś nowemu, zatrzymuje się na ostatnich chałupach owych zagubionych gdzieś w Polsce Reczyc, objaja się między nimi jak poruszane wichrem wody wielkiego jeziora. Trzech ludzi z tej wsi, malorolny Krówka Maciej, były fernal Niedrega; Walek i Stacho Lebioda, syn malorolnego, postanowili około roku 1948 pchnąć swoją gromadę na torę nowego życia. Najpierw powodują aresztowanie sklepikarza, który pędził bimber, rozpijał wieś, sieje w chłopskich głowach zamęt, potem udaje się im nie bez trudu założyć Koło Samopomocy Chłopskiej. Jednakże wprowadzenie w życie zamierzonego programu działania napotyka na duże przeszkody, wywołuje ferment, ujawnia klasowe antagonizmy wiejskie. Stach Lebioda w wyniku kłótni z ojcem musiał opuścić dom rodzicielski, pozostawiając ojca bez pomocy, a miłość swą do Irki, córki sklepikarza, długo uważał za niegodną i z góry przekreśloną. Zła wola bogaczy miejscowych, którzy nie chcą pożyczyc maszyn i nie chcą razem z całą gromadą wspólnie pracować, wychodzi jak sztydo z worka przy okazji siewów, siano kosów i żniw. Stach Lebioda z uporem odmawia wszelkiego udziału we wspólnych poczynaniach i przyjęcia jakiegokolwiek pomocy. Egoizm i ciasnotę okazują niektórzy, gdy wypada zamian za maszyną na swej własnej działce — pracować bez pomocy maszyn na drobnej działce sąsiada... W umyśle Stacha Lebiody rysuje się już wspomnienie korzyści spółdzielczej gospodarki rolnej. Ta jednak perspektywa wywołuje prawdziwy zamęt we wsi. Osamotnieni kulacy skupiają się wokół sklepikarza, który w sąsiednim miasteczku zajmuje się spekulacją; ten organizuje szeptałą propagandę i zamach na życie Stacha. Ale zbrodnia konsoliduje biedniacką wieś, elektryfikacja dobiega końca, Dom Ludowy otwiera swe podwoje. Stach po powrocie ze szpitala staje się przedmiotem podziwu i szacunku całej gromady.

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

CHOROBA MITÓW

ARTYKUŁ
DYSKUSYJNY

JERZY ŁOZIŃSKI

Jean Effel przywiózł z Paryża do Polski piękne opowiadanie o tajemniczym przedmiocie — gulgulierz. Słuchacz zostaje zaskoczony dziwną nazwą i tak samo jak bohaterowie opowiadania nie chce się przyznać, że nie wie, o co chodzi. Oto pewien marynarz wykorzystując słabość kapitana, ludzką skłonność do pozostawiania na wszystkich wiedzącego, uzyskuje zwolnienie od służby na morzu, dostaje skierowanie na ląd, aby w przeciągu trzech tygodni wykonać tajemniczy przedmiot, gulgulierz. Kapitan jest ofiarą kpiny, nie wie co to jest gulgulierz, ale boi się przyznać, że czegoś nie zna, czy nie rozumie. W końcu, gdy sytuacja skomplikuje się do ostatnich granic, gdy na skutek przychybienia admirała i jego zainteresowania przedmiotem przykrym wstydlwie brezentową płachtą zobaczmy gulgulierz w działaniu, wtedy wyjdzie na jaw cała bzdura. Ogromny, wypoliturowany kloce, przewiercony różnej wielkości otworami unosi na ramionach ośmiu marynarzy i wyrzuca go za burtę. Gulguliera tonąc wydaje szereg dziwnych gulgulnięć i tym samym demaskuje dysproporcję między przedmiotem i problemem.

OBJAW CHOROBY

Zanim wykryjemy, gdzie kryje się drobna sprawa rozumowania do rozmiarów głównego problemu architektury, zajmijmy się dyskusją o zagadnieniach naprawdę istotnych. Od dłuższego czasu pojawiają się w prasie codziennej notatki dziennikarskie i listy czytelników zwracające uwagę na złe rozwiązania użytkowe mieszkań, na złe wykonawstwo, na brak organizacji placówek budowy, na nieskoordynowane działanie różnych przedsiębiorstw realizujących projekty architektoniczne i urbanistyczne. Architektów, jak widać z ich upartego milczenia, te sprawy nie obchodzą. W końcu nawet „Przegląd Kulturalny”, pismo bądź co bądź poświęcone problematyce artystycznej, zamieszczał kilka artykułów na ten mało artystyczny temat. Nie należy jednak uważać tego za przypadek. Już w pierwszym artykule z tej serii M. Żulawski (Od elewacji do kuchennych schodów P. K. nr 11) wykazał, że sprawy użytkowe nie są obce teorii architektury, że teoria, która dopuszcza złe rozwiązania mieszkań w budynkach o ozdobnych fasadach, jest złą teorią. W stosunku do kompozycji urbanistycznej podobne zastrzeżenia wysunął S. Zieliński w nr 36 P. K. (O Starym Mieście bez wodotrysku). Poza granice dyskusji warszawskich wyszedł M. Czerwinski w cyklu artykułów pt. „Podróż po krainie Z. O. R.”. Jak widać z ostatnich numerów „Przeglądu Kulturalnego”, cykl ten pobudził do szerszej dyskusji. Głosów architektów w niej jest niewiele. Gdy zanepokojony atakami społeczeństwa odezwał się architekt A. Majorek, to starał się jedynie wykazać, że wszystkim są winni wykonawcy projektów, a nie architekti. Nie — fachowcy nie powinni się wtrącać tam, gdzie dyskutują o ważniejszych sprawach artystycznych. W numerze 39 P. K. zebrał S. Zieliński głosy dwóch architektów J. Knothe wyrzucając mu w artykule „Co ludziom a co cegłom” dyktando i prywatę oraz próbując dowiedzieć, że jednak u nas decydują cegły, a nie ludzie.

Ostatnio w „Trybunie Ludu” ukazał się artykuł J. Bogusza, też architekt, który postawił sprawę w sposób poważny, zwracając uwagę na jaskrawe błędy w pracy niektó-

rych architektów. Artykuł ten skierowany przeciw „fasadowości w architekturze” wykazuje, że formalizm to nie taki lub inny zespół środków formalnych, lecz przede wszystkim stosunek architekta do twórczości. Artykuł J. Bogusza wnosi do dyskusji dwa nowe czynniki. Wskazuje nie tylko na błędy, ale również pokazuje palcem tych, którzy są za nie bezpośrednio odpowiedzialni. A co ważniejsze ujawnia, że Komitet Urbanistyki i Architektury przy naczelnym architekcie Warszawy pod kierownictwem J. Sigalina „z reguły ocenia projekty tylko od strony estetycznej, zadowalając się odczytaniem krótkiej opinii KOPIi odnośnie zagadnień użyteczności i ekonomiczności”.

Bardzo cenne jest, że artykuł ten wskazuje bezpośrednie przyczyny rozdziewku między monumentalizacją urbanistyczną i użytkową wartością architektury. Nie można jednak uważać go za podsumowanie dyskusji. Kończy on najwyżej pierwszy jej etap i daje podstawę do poszukiwania istotnych i zasadniczych przyczyn.

SŁĘPA ULICZKA: PRYMAT KOMPOZYCJI

Błąd wyraźnie leży poza samym projektowaniem architektonicznym. Jeżeli zakłada się z góry jakąś całkowitą abstrakcyjną kompozycję miasta czy dzielnicy, z placami, ciągami pieszymi, „akcentami”, wychodząc jedynie z założenia, że ma to być ładne, a traci się z oczu indywidualny charakter poszczególnego budynku, to takie postępowanie musi się zemścić. Kompozycja brył przyjemnie wygląda na makiecie, ale po jej zatwierdzeniu beżymyśniewłacza się w poszczególnie bryły mieszkaniowe, sklepy, kawiarnie, jednym słowem wszystko, co znajduje się pod ręką.

Przykładem takiego postępowania może być poszukiwanie użytkownika dla budynku, który ma stanąć przy ul. Marszałkowskiej naprzeciw Pałacu Kultury i Nauki. Po szeregu przemyśleń znalazłoby się — Miejską Radę Narodową. Zdałoby się, że sprawa jest już załatwiona. Powaga instytucji odpowiada miejscu. Niestety, znów zatrzymano się w pół drogi, co wskazuje na inny zgoła sposób rozumowania niż przypuszczaliśmy. Układ brył wymyślony poprzednio dla abstrakcyjnego użytkownika pozostał. I właśnie ta beżymyśniewłacza urbanisty nie pozwoli najlepszym architektom na znalezienie rozwiązania użytkowego i artystycznego, które odpowiadałoby roli i znaczeniu Miejskiej Rady Narodowej. Do tego monumentalnego gmachu będzie się wchodzić gdzieś z boczku, chyłkiem. Na zaprojektowanie odpowiedniego wejścia nie pozwoli umieszczony w środku dość okazały prześwit, który prowadzi na lokalną osi sięgającą dwóch małych kamieniczek przy Nowym Świecie. Prześwit pozostał jako kompromis między dwoma zwalczającymi się tendencjami; jednej pełnej odwagi i rozmachu, przewidującej szeroką oś od PKiN do Wisły, i drugiej, nieśmiałej, starającej się utrzymać monotonna ścianę ul. Marszałkowskiej. W tym abstrakcyjnym, wykonanym kompromisem między kompromisem i kompromisem, Coraz też nie potrafiłby pokazać nic innego, jak tylko parawan ulepiony z dziwnej masy nadającej się do „kształtowania wizji urbanistycznych” wszelkiego rodzaju.

Jeżeli ma tu być Miejska Rada Narodowa, żywa i ważna dla mieszkańców Warszawy instytucja, to należałoby poszukać przede wszystkim

indywidualnego, odpowiadającego jej rozwiązania. Może wtedy obecny „wystroj”, odpowiedni dla bezdusznej maszyny do urzędowania, mimo że używający kolumn jako zasadniczej ozdoby, da się zastąpić mniej pompierską, ale za to żywą architekturą.

Takich przykładów można w Warszawie znaleźć wiele. Falszywe rozwiązania są zwykłą pochodną złych założeń. Główny problem wprowadzający wiele zamętów to sprawa prymatu kompozycji. Otóż z dotychczasowych dyskusji i projektów widać, że prymat kompozycji to nic innego, jak chęć nadania budynkowi przeznaczonemu przez urbanistę na „akcent” charakteru monumentalnego, a fasadzie — bogactwa plastycznego. W tej sytuacji, w której prymat kompozycji jest uznawany przez wszystkie kolegia zatwierdzające projekty, architekt musi rozstrząsać sprzeczność między indywidualnością budynku, wywodzącą się z jego użytkowości, a rolą, jaką ma spełniać budynek w abstrakcyjnej kompozycji miasta, ze szkodą dla wartości użytkowej mieszkań czy biur. Przylepia on wtedy do fasady ozdoby z garnituru renesansowego lub klasycystycznego, rzadziej zaś „nowoczesnego” oraz rozwiązuje mieszkaniową nie w zgodzie z człowiekiem, który w nich będzie mieszkał, ale tak, aby utrzymać standarty i udowodnić, że do takiej fasady jakiś plan można dorobić. Pod wpływem ataków ze strony społeczeństwa, które czuje się pokrzywdzone zabawą w „komponowanie”, niektórzy architekti nawołują albo do zwolnienia od wyśrubowanych standardów, albo do dobrego rozwiązania mieszkań mimo wszystko. Równocześnie prymat kompozycji ma dalej obowiązywać. Co ma w takiej sytuacji robić architekt? Dyspensy od standardów ekonomicznych, który są z natury trzeźwiejsi, nie dadzą. Zwiększony nakład pracy, jak wykazują doświadczenia, niewiele pomoże. Użytkowość i materiały mają jednak granice, do których dają się ugiąć.

GDZIE SIĘ ZACZYNA KOMPOZYCJA

Jedynę wyjście to zastanówić się, czy prymat kompozycji naprawdę istnieje, czy nie jest wynikiem błędnych założeń. Śmiem twierdzić, że jest to jedynie wytworem wyobraźni niektórych architektów, że jest to chwył pozwalający na ukrycie za mądrym terminem własnych gustów urbanistycznych nie mających pokrycia ani w realnym życiu, ani w metodzie realizmu socjalistycznego. Naprawdę istnieje prymat życia. Jeżeli jakiś, choćby najefektowniejszy fragment kompozycji urbanistycznej nie ma pokrycia w życiu, to znaczy, że jest formalistycznym. To chyba najprostszy sprawdzian formalizmu.

Urbanista, który szuka schematów miasta jedynie w swojej wyobraźni, który wymyśla akcenty i place zamiast komponować życie miasta, to chyba ślepiec. Wyśniona przez tego dziwnego artystę wizja miasta jest często nie tylko koszmarnym snem, często staje się niestety rzeczywistością.

Wiemy, że miasto potrzebuje swaręgo układu, czytelnej jego organizacji, potrzebne akcentów plastycznych i reprezentacyjnych placów. Ale czy Biuro Urbanistyki Warszawy rozumie dlaczego takie potrzeby istnieją i jak je zaspokoić? Popatrzmy, gdzie BUW szuka przesłanki dla obrazu miasta, które nam funduje.

Bezwzględna dominanta życia stolicy jest Sejm. Gdzie się podział budynek Sejmu? Owszem, jest. Sioł sobie skromniutko na skraju skurpy, przy bocznej uliczce. Można by sądzić, że jest to jeden z pawilonów rozrywkowych Parku Kultury. Można winić autora gmachu, który, jak nikt poza nim w Polsce, potrafił zrobić monumentalną architekturę, ale po co? To nie on zawinił, Stara się jak może, ale niewiele zdziała w takich warunkach: Gdzie usytuować Radę Ministrów? Gdzie jest Rada Państwa? A może w przyszłości przewidziano dla nich odpowiednie miejsce? Czy te ważne akcenty życia mają wpływ na kompozycję miasta? Lepi się abstrakcyjne akcenty bryłowe. A równocześnie Warszawie nie brak ministerstw, muzeów, banków, hoteli, wyższych uczelni, Domów Kultury, Dzielnicy Rad Narodowych, domów towarowych, bibliotek, szkół. Gdyby te wszystkie budynki zostały odpowiednio rozmieszczone w planie miasta, gdyby wydobyły ich gradacje, gdyby je połączyła odpowiadająca ich życiu sieć arterii komunikacyjnych, gdyby place wynikały z potrzeb życia a nie abstrakcyjnych założeń, to nie byłoby potrzeby ciągnięcia za uszy budynek mieszkalnego, aby ze szkoda dla ludzi udawał coś, czym nie jest i czego jak widzimy udawać nie potrafi. Wyrzucmy za burtę abstrakcyjny prymat kompozycji a bardziej szanujmy prymat życia w architekturze. Umówmy się, jeżeli to dla kogoś nie jest oczywiste, że nowe życie i jego artystyczna organizacja są podstawą do kompozycji plastycznej miasta. Wtedy każdy budynek będąc sobą zostanie nienagannie rozwiązany użytkowo, włączy się w całość miasta i wraz z innymi nieokaleczonymi budynkami da plastyczny obraz tego, czym naprawdę żyjemy. Naszych radości i trudności codziennych i bogatych marzeń na przyszłość. Szukajmy pomostu między naszymi materialnymi sprawami a marzeniem o pięknie życia. Piękny kształt naszej architektury musi wyrósł z naszego życia. Nie znajdziemy go ani za siedmioma górami, ani tym bardziej szukając w podręcznikach obrazków z wzorkami ozdóbek. Jeżeli chodzi o historię, to nie przeczuciami książek oglądając pobieżnie ilustracje, ale przy-

rzynmy się dobrze budynkom zabytłowym i starajmy się zrozumieć, jak powstawało prawidłowe odbicie życia w starej, dobrej architekturze. Nasze współczesne życie nie jest gorsze od innych, nie wierzę tym, którzy, jak można sądzić po ich działalności, nie widzą piękna w naszej epoce, w tym jak kształtuje się nasze życie.

NA DOKŁADKĘ

Na zakończenie kilka przykładów urbanistyki warszawskiej (proponuję poszukać, i w Warszawie, i w innych miastach podobnych gulgulierz znajdzie się więcej). Sprawa placów. Niedawno w jednej z gazet ukazał się rysunek placu Zwycięstwa z następującym podpisem: „zatwierdzony został ostatecznie do realizacji projekt rozwiązania placu Zwycięstwa”. Na rysunku widać, że ścianę wschodnią stanowią bloki MON-u. Ścianę południową również budynek chyba biurowy, północną ścianę placu nie ma, bo przechodzi on w przestrzeń przed teatrem Wielkim. Ścianę zachodnią stanowi śpialer strzyżonych drzew. Od razu widać, że jedynie CDT zarządzając targi jesienne będzie mógł na dwa tygodnie w roku wprowadzić tutaj jakieś takie życie. Ale po co ta pompatozna nazwa? Słusznie mówi się w kulturalach, że jak BUW nie wie co to zrobić, to sadzi drzewa. Szkoda, że nie zlokalizowano przy placu Zwycięstwa głównych gmachów Ministerstwa Obrony Narodowej zamiast jego podrzędnych biur, z których w dodatku wychodzi się na Krakowskie Przedmieście. Można by wtedy znaleźć odpowiednio monumentalny wyraz dla takiego właśnie kompleksu gmachów. A co się dzieje z osią saską? Czy znajdzie odpowiednią kontynuację w kierunku Woli — nie wiadomo, ale że na praskiej stronie Wisły została zlekceważona, to już wiadomo. Umieszczono tam Ministerstwo Żegluga, ale z boku, starając się nie pokazać, że po stronie warszawskiej istnieje jakieś założenie o dużej sile organizującej wyobraźni i mające możliwości organizowania życia. Jeżeli chodzi o stronę zachodnią osi to, co prawda, jest projekt „ładnego” rozwiązania Guzikowej i Tetmajera, przed którym wzdrga się BUW posiadający inny gust urbanistyczny, ale również w tym rozwiązaniu nie ma takich budynków społecznych, które usprawiedliwiałaby skalę i charakter założenia.

Inny sztuczny plac to osławiony plac Konstytucji, który jak się ostatecznie okazało przy układaniu na nowo torów tramwajowych nawet komunikacyjnie nie jest słusznierozwiązany. Trudno również tu znaleźć zwiędzającemu Warszawę zrozumieć, co było przyczyną utworzenia tutaj placu i bezsensownego polamania istniejącego układu ulic. Plac dla kandelabrow zaprojektowanych w jedną noc — to chyba mało. Jest tu co prawda hotel, ale go trudno rozpoznać. Może neonowy napis pokaże z czasem istnienie tego budynku, którego użyteczność i forma plastyczna nie usprawiedliwiają aż takiego dużego założenia. Natomiast w innej części miasta powstaje budynek, któremu jest potrzebny plac. O ile lepiej, użytkowo i plastycznie, działalaby Filharmonia, gdyby nie była wtłoczona w ciasne uliczki! Dlaczego warunki konkursu na Akademię Muzyczną przewidują usytuowanie jej na zapleczu ulicy Kopernika i odsuwają od skarp, dla której tego rodzaju gmach mógłby stać się jednym z zasadniczych akcentów kompozycyjny? Inny przykład, to niedawno poruszona przez J. Łozińskiego sprawa dzielnicy placu niedaleko CDT („Przegląd Kulturalny” nr 46).

TOPMY GULGULIERY!

Dyskusja jest otwarta. Właściwie teraz się dopiero zaczyna jej zasadniczą część. Trzeba usunąć gulgulierz architektoniczny, których jest dość dużo i trzeba zwałzać próby wulgaryzowania założeń realizmu socjalistycznego. Zmarnowany został czas, w którym można było znaleźć drogę do treści architektury — nowego socjalistycznego życia do odpowiadającej mu formy plastycznej. Zawracano nam głowę jakimiś prymatami kompozycji. Wstyd było się przyznać, że nie rozumiemy, o co chodzi. Zawraca się nam głowę, że nawiązywanie do tradycji to kopiowanie ozdóbek, że technika w architekturze to konstruktivism, niektórzy architekti starają się nam zasugerować, że ich prywatne poglądy to wytyczne partii. Nie wstydźmy się, że nie wiemy wielu rzeczy, przeczytajmy uchwały krajowej rady partyjnej architektów, przeczytajmy, co Lenin mówił o stosunku do przeszłości, i wtedy zrozumimy, że ktoś z nas próbował zakpić sugerując nam najbardziej naiwną interpretację tego, czego żądają partia i naród.

O POSTĘPIE TECHNICZNYM

JAN KNOTHE

Felieton powinien być wesoły, ale ja jestem smutny i dlatego felieton nie może być wesoły. Dlaczego? — Prosta rzecz. Jestem wielbicielem postępu, a co za tym idzie mechanizacji i w ogóle... Maszyna ułatwia... Wzywano mnie na konferencję w sprawie postępu technicznego (że niby: — „jak stosować jego elementy”). Poszedłem i zmęczyłem się. Nie konferencję (nie odbyła się), ale windę. I to podwójnie — fizycznie i psychicznie. Do biura, które należy do krewnych pionu zawiadującego tą galęzią postępu, która miała być tematem omówionej konferencji — dojeżdża się windą. Zwykła rzecz. Przyzwyczaiłem się do tego — a także do tego, że winda częściej była zepsuta niż nie. Ale tego dnia spotkała mnie podwójna niespodzianka, bo winda była „na chodzie”, ale nie dozwoliła „na najwyższe piętro, tylko o dwa piętra niżej. Dlaczego? — Bo jej zakaza-

no. Bo punkt kontrolny jest o dwa piętra niżej; więc żeby przypadkiem nikt się nie utopił w windzie i nie przemknął obok czujnego punktu zakazano windzie jeździć na najwyższe piętro. Poszedłem dalej piechotą i zasapalem się (niedomagam na serce), a jednocześnie dumalem i to mnie zmęczyło najbardziej. Winda — myślałem — to pewien gatunek postępu (dość już zresztą poddał się) — psująca się winda ostatecznie też nie jest wstęcznictwem, bo może się ją kiedyś naprawić, ale psująca się winda, której sprawność ograniczona jest — „za pomocą” zarządzeń administracyjnych — to chyba jakiś „sabotaż postępu”.

Konferencja jako się rzekło nie odbyła się.

Może to i dobrze, bo byłem „w stronę postępu” bardzo pesymistycznie nastrojony.

Od tego czasu upłynęło wiele dni i już wiem, jak „stosować postępi” („stosowanie postępu” to nowoutworzony potworek urzędowego języka). Wiem już, że postępi techniczny w budownictwie to stosowanie nowych (albo nie bardzo nowych) materiałów, jak „siporex”, „żużlobeton”, „aryt” i t. d. — to prefabrykacja wielkich elementów konstrukcyjnych, mechanizacja budowy, doskonalsza organizacja wszystkich faz powstawania budynków (a więc i projektowania). Ani słowa! To jest postępi!!! Stawiam umyślnie trzy wykrzykniki, żeby nie powiedzieli później, że nie wierzę w rozwój budownictwa, że pesymista... że podkopuję „elementy”... że nie włączam się na etapie i t. d. Owszem, włączam się na etapie... i dlatego właśnie uważam, że czas jest podnieść umiarkowany gwałt — na temat omdknięcia „elementów postępu”. Gwałt, który będzie miał treść, że się tak wyrażę, pesymistyczną, a w skutkach powinien być „optymistyczny”.

Postępi według mnie (niech w czeni w piśmie skorygują, jeżeli się mylę): więcej, prędzej, taniej i lepiej (albo przynajmniej tak dobrze, jak dotąd).

Tymczasem u nas postępi identyfikuje się wyłącznie ze słowami „prędzej i więcej”. Co więcej „prędzej i więcej” realizuje się kosztem jakości. A więc gorzej. I to poczynszy od najpierwszego etapu wszelkiego budowania t. zn. od projektu. Praktycznie biorąc wszystko jest nastawione na forsytowanie szybkości — cała organizacja (albo raczej dezorganizacja) biur projektowych, system premiowania... — wszystko. A tak — proszę obywateli — dyć nie powinno.

JERZY ADAMSKI

Budujemy szybciej i więcej. Cieszymy się z tego. A jednocześnie obniża się poziom wykonania i wyposażenia budynków (nie wspominając już o poziomie projektowania). Przykłady? Proszę bardzo! Mam w domu takie zwierze, co się nazywa „Jawor”. „Jawor” to kuchenka. Dobry to on nie jest. Ale taki znowu całkiem zły to też nie. Ma jedną podstawową zaletę, że działa. Pochodzi z roku 1950. Ostatnio czytamy w prasie, że nowoistalowane Jawory są dobre, ale mają podstawową wadę — tę, że nie działają. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Świata) i mając ręce ukrepiłem jednym śmiałym ruchem kran — bez wysiłku — a jak ciocię szanuję nie mam krępy Zbyszka Ciganiewicza. Chciałem jeszcze napisać, że „lufta” też się coraz bardziej do kitu. Ale zrezygnowałem. Znam krany i inne podobne instalacje w domach na placu Konstytucji. Wyglądają przystojnie i w miarę mocno. Byłem kilka dni temu u znajomka osiedlonego w nowym mieszkaniu (około Nowego Ś

CO i JAK GRAĆ

DYSKUSJA
O REPERTUARZE TEATRALNYM

O nietrudnej sztuce bicia w bęben

STEFAN
TREUGUTT

Znak zapytania (?), inaczej zwany pytańnikiem, to urządzenie użyteczne. Ten skromny symbol intonacyjny i intelektualnej wątpliwości może pomóc w niejednej opresji. Trzeba go tylko odpowiednio często i z pewnym minimum sensu stosować. Spróbujmy, drogi przyjacielu, zabrać się w użycie pytańnika.

Jeżeli Ci mówią np. o teatrze „wielkich idei”, to pamiętaj, że to jeszcze nic nie znaczy. A raczej: nie wiadomo co znaczy. I tu potrzebna nasza zagięta kreska z kropką u dołu. Bo o jakieś tu idee idzie? dla kogo? jak wyrażone? kogo atakują, czego i dlaczego bronią? — a czym się „wielka idea” różni od innych, mniejszych? I taka seria to ledwie początek pytańnikowych niespokojności.

Jeżeli podnosi się krzyk, że nie gramy naszych klasyków, to pamiętaj, przyjacielu, że krzyk jako taki jest tylko efektem akustycznym. Pytaj natomiast, kto, kiedy i co chciał grać? jak? — Kto i dlaczego przeszkadzał, a jak z tymi przeszkodami walczył autor pokrzykiwań? I w jakim momencie rozpoczął pokrzykiwać? Zauważywszy wtedy, że ludzie, którzy całymi latami znosili brak wielu arcydzieł naszej dramaturgii na scenie, którzy respektowali nader pochopnie wszelkie sugestie pól a nawet ćwierćoficjalne, od kilku miesięcy gorączkowo chcą grać co trudniejsze pozycje naszej klasyki. Dlaczego? Może i dlatego, że było oficjalne zalecenie Rady Kultury i Sztuki w związku z uroczystościami Mickiewiczowskimi — a może po oficjalnym przemówieniu programowym dyr. Balickiego zachęcającym do rozszerzenia repertuaru... może po jakich innych, ćwierćoficjalnych pozwoleniach? Obawiam się tylko, że sytuacja i przedtem, i obecnie jest dosyć podobna. Brak było dostatecznie sprecyzowanych i dojrzałych koncepcji artystycznych, brak było nowatorskiego odczytania treści ideowych wielkich arcydzieł naszej przeszłości kulturalnej — toteż problem istniał jako pobożne życzenie kawiarniane, nie jako żywotne zagadnienie decydujące dla normalnego wzrostu naszego teatru. A może takie koncepcje były, może mechanicznie ucinano głowę nowatorstwu?

Otóż nie, takich koncepcji nie było. Bo cóżby się z nimi stało teraz, gdy takie groźne dla świętej autonomii teatralnej potwory. Jak Centralny Zarząd same usilnie głowią się i powołują różnorakich fachowców dla przyspieszenia realizacji tych właśnie postulatów repertuarowych, o których przecież niby od lat wszyscy ludzie teatru nieustannie marzyli. Był lat temu kilka *Horsztyński* w Łodzi, był i jest *Horsztyński* w warszawskim Teatrze Polskim. Pierwszy *Horsztyński* był w zestawieniu z drugim surowy artystycznie, aktorsko pełen prymitywizmów, ale czy któres z tych widowisk może pretendować do rangi wielkiej koncepcji, nowatorstwa, śmiałości inscenizacyjnej chociażby? Niech znak zapytania zwołini od odpowiedzi.

Pouczające będzie tu zwrócenie uwagi na sceniczne losy Szekspira. Mamy w stałym niejako repertuarze kilka komedii, świetnych zresztą ale repertuarowo zbanalizowanych. Dlaczego się nie gra innych Szekspirów? Co z wielkimi dramata, których od lat na naszych scenach nie uświadczy? Niech mi kto tu spróbuje tłumaczyć, że „ukreślaną głowę” tym pozycjom, że niechętnie by ktoś spojrział na plany inscenizacji *Hamleta* czy *Króla Lira*.

Czy były fakty przykrzawania inicjatywy, ingerencji na drodze administracyjnej, wytyczania przez niefachowców rozwiązań ściśle fachowych, artystycznych? Były. Bo też tej inicjatywy bywało też często tyle, by ją grzecznie przykrajać. Właśnie brak prężności i żywotności wielu środowisk teatralnych sprawił, że wielkie przemiany w strukturze i wyrazie ideowym teatru nastąpiły w znacznej mierze pod wpływem nacisku zewnętrznego, nie zaś poprzez przemianę wewnętrzną. Za wielkimi i szybkimi przemianami w świadomości obywatelskiej, politycz-

nej znacznej części ludzi teatru nie nastąpił równie szybki, głęboki przełom w świadomości artystycznej, słabo wypadło upolitycznienie teatru jako instytucji społecznej. Jeżeli zaś to upolitycznienie spadło na barki czynników pozateatralnych, no, to wielu smutnych rezultatów można się było spodziewać. Sprawy repertuaru stanowią tutaj tylko część zagadnienia, równie dobrze można na tym gruncie rozpatrywać najazd na nasze sceny naturalizmu inscenizacyjnego, socjologizowania w interpretacjach — jako namiastek sztuki realistycznej.

Czy wiesz, drogi przyjacielu, co to jest bębienie? To uderzanie twardym przedmiotem, zwykle w kształcie pałki, po napiętej skórze. W jakim celu? — w celu wywołania hałasu, huków, harmideru itp. efektów. Czy to zjawisko społecznie pożyteczne, celowe? Rozmaicie bywa. W zespole symfonicznym bęben jest instrumentem pożytecznym, a bębienie wymaga pracy i umiejętności. A ja nie o takim bębieniu, nie o orkiestrowym, o bardziej indywidualnym i alarmowym. O takim alarmie, żeby na gwałt klasykę, żeby nagle przy pomocy kilku nowych pozycji repertuarowych odzwoływać niedomagający organizm teatralny, itp. Do tego rodzaju donośnych rewelacji należą twierdzenia, że sztuki współczesne kładą teatr, że bez nich wszystko by wyglądało inaczej. A ja na to odpowiem „przeciwbębieniem” równie alarmowym: to nie autorzy współcześni, to współcześni reżyserzy przede wszystkim kładą teatr. Zważmy bowiem, że autorzy współcześni dostarczają tylko części repertuaru, a reżyserzy pracują nad wszystkimi sztukami wystawianymi; a czy wiele więcej uduchowanych przedstawień klasyki niż inkryminowanych sztuk współczesnych? W jednym z najbardziej interesujących teatrów stołecznych wystawiono ostatnio bez powodzenia takie arcydzieło jak *Mizantrop*, a wyjątkowo dobrze poszły tam dramaty Kruczkowskiego i komedia Jurandota.

Przemiany, jakie zaszły w ostatnich latach w naszym teatrze, można najkrócej scharakteryzować jako: upolitycznienie teatru. Z wypadkowej różnych tendencji ideowych, z chaosu przypadkowości w zakresie metody i stylu wkroczyliśmy na drogę świadomej w założeniach pracy, której cel jest jasny i prosty: pomoc w budowie socjalistycznej kultury narodu; twórczy i czynny udział sztuki teatralnej w procesie estetycznego i moralnego wychowania nowego człowieka.

Z tej perspektywy należy oceniać osiągnięcia i błędy powojennego dziesięciolecia. A że łatwo zdać sobie sprawę z licznych błędów w najbliższej przeszłości i dzisiaj, to wypadnie wyciągnąć wniosek: teatr nasz widocznie nie jest takim politycznym teatrem, jaki mógłby w pełni spełniać swe zadania społeczne.

Nie chcę sobie pochlebiać, że dokonałem tu rewelacyjnego odkrycia. Ale sądzę, że trzeba sobie raz jeszcze uświadomić niedowład ideowy naszego teatru, brak jego uzbrojenia politycznego, by następnie dyskutować z takimi głosami, wcale w środowisku ludzi teatru niespolitycznionymi, które kwestionują sens politycznego teatru, protestują przeciw nasycającemu życiu teatralnego współczesnymi treściami politycznymi. Myślę, że do takiego paradoksu jak proponowanie przerwania kuracji chorego dlatego, że dawka leczniczego preparatu została słabo i źle użyta, doszło na gruncie poważnego wypaczenia w rozumieniu tego, czym jest walczący teatr polityczny. To tak jak gdyby ktoś, kto pozwolił na układanie repertuaru pod kątem dogodzenia wszystkim „wydumkom” wszystkich instancji, powiedział nagle: mam dosyć, nie umiem sam ułożyć własnego programu, nie mam własnych ambicji twórczych, nie podobają mi się to, co układają zamiast mnie, dosyć tej zabawy, ja chcę grać wielkie arcydzieła — pod jednym wszelako warunkiem — że nie pozwolicie mi ich grać — bo przecież nie wiem jak.

Hałaśliwe bicia na różne alarmy należy odróżnić od głęboko słusznego postulatów, by przywrócić kierownictwo artystycznym teatrów i

utyskiwanie na brak współczesnego repertuaru w teatrach, na słabe zaangażowanie się teatrów w bezpośredniej problematyce dnia dzisiejszego — stało się nawykiem, i to nawykiem dość nieciekawym. Bo, żeby coś się zmieniło w tym względzie, żeby było jakieś falowanie tego problemu — wtedy może owo utyskiwanie miało by posmak aktualności, świeżości, ale od kilku lat dmie się w tę samą dudkę i nie się nie zmienia. Ludziom teatru obrzydło już powtarzanie jednego w kółko, że gra się co tylko jest możliwe do grania, że pozycje, które kompromitują teatr w oczach publiczności nie należy brać na warsztat itp. Publiczności obrzydło patrzeć na trzeciorzędą literaturę dramatyczną, która przeważnie nie ma nic wspólnego ze sztuką. Wszyscy o tym dobrze wiemy i z dużą tolerancją czytamy liczne zresztą artykuły na temat repertuaru współczesnego,

ale czasami zdarza się artykuł denerwujący. Takiego nie należy kwitować wzruszeniem ramion. To jest artykuł groźny dla teatru. Chcę wspomnieć o artykule wstępnym „Teatru” nr 19 br. zatytułowanym „Co chcemy widzieć w stolicy?”. Najpierw rzecz zasadnicza: zakładam, że czasopismo „Teatr” jest organem Spatifu. Myślę, że takie założenie, nawet po malej dyskusji, jest do przyjęcia. Następnie ustalmy pojęcie „my” („...chcemy widzieć”). „My” to znaczy Spatif, ale „my” to oznacza również publiczność warszawską, w imieniu której autor artykułu wstępnego przemawia. Mało: przemawia — krzyczy, strzela. Co prawda nie sądzę, a żeby publiczność warszawska upoważniała kogoś do takiej przemowy, ale to na marginesie. A teraz do rzeczy: autora najbardziej drażni „mąszalanki” i macoszysztosunek do problemowej współczesnej sztuki polskiej. Nie rozumiem, o

go kontaktu z dramaturgią naszych dni. To jest prawda z gatunku oczywistych. Wiemy przecież, że wszystkie wielkie teatry i style teatralne, od teatru klasycznej Grecji, od teatru elzbińskiego i molierowskiego, po MCHAT i ostatnio chociażby teatr Brechta, powstawały w najściślejszym związku ze współczesnością, operowały jako podstawa tekstem współczesnym sobie, pisały nawet z reguły dla konkretnych teatrów.

Trzecia zasada, najważniejsza, to realne potrzeby społeczne, jakim ma odpowiadać repertuar, a co ważniejsze: nawet, sposób podania tego repertuaru. Bowiem i najbardziej urozmaicony repertuar zawieździe, jeżeli będzie sztucznie przykrawany do jakiegoś jednego sztucznego schematu i stylu, który licho wie dlaczego z kategorii naturalistycznego eklektyzmu z teatru mieszczańskiego rodem ma awansować na miano „realizmu socjalistycznego”. Wybór pozycji repertuarowych ma właśnie na celu wydobycie i pokazanie na scenie takich sztuk, które całkiem realnie, a nie w ogólnikowej metaforze, czynnie pomogą w przebudowie i wzbogaceniu świadomości społecznej. Miejsce tu i na wielkie wzruszenia, i na sprawy codienne, na beztroski śmiech, i na zjadliwą aktualną satyrę. Teatr jest wtedy polityczny, wtedy jest żywym orzechem kultury socjalistycznej, gdy jest prawdziwym teatrem, gdy porwa widzów, gdy pozostawia trwałe ślady w ich pamięci, psychice, w ich refleksji moralnej, gdy po mistrzowsku panuje nad ich wyobraźnią, gdy nie jest ilustracją jakiejś współczesnej czy historycznej tezy społecznej, lecz gdy u c z y nowych prawd, odkrywa nowe światy wyobraźni, nowe dziedziny przeżywania ludzkiego piękna.

A teraz kolej na najważniejsze pytanie, które jest w prawie zadać mi każdy adept nietrudnej sztuki bicia w bęben: co więc grać? w jakim stylu? Mickiewicz czy Zapolska, Cechow czy Wiszniewski, a może Brecht (ostatnio ma przecież lepszą prasę), czy wolno już trochę formalizmu? Jak się ostatnio patrzy na metodę Stanislawskiego, czy jeszcze aktualna? Co tu odpowiedzieć? — Nie wiem, ubodzy moi bracia, *fej bohu* nie wiem. Nie potrafię ułożyć dydaktycznej listy tytułów, rozsuzwanej wedle możliwości każdego zespółu, nie mam proroczego daru księdza Pirożńskiego, by nieomyślnie rozstrzygać, co dobre, a co złe. Nie mam również ochoty zdradzać się z tym, jaki jest akurat „kurs”, co idzie na giełdzie tytułów, czy dobrze, a co źle. Dlaczego? Może z prostej złośliwości, a może sam nie wiem?

A najlepiej na takie pytanie odpowiedzieć chytrym przeciwuderzeniem w bęben: a co wam przyjdzie, jeżeli będziecie wiedzili wszystko o tytułach i o lini, i o kursie? — Przecież i tak będziecie niezadowoleni, będziecie o coś bili na twórgę.

co autorowi chodzi? Wszyscy wiedzą, że z dramatem współczesnym jest źle i to nie tylko u nas. Że teatr broni się przed wystawieniem sztuki, która jako żywo załamie plan frekwencyjny i finansowy — to chyba nie dziwota. I autor artykułu o tym dobrze wie, ale on woli stworzyć sobie wygodną pozycję sprawiedliwego wśród łotrów.

Zapominamy tu o pewnym elemencie, bez którego nie ma teatru: o publiczności. Ktoś mało zorientowany przeczytawszy ów artykuł wstępny gotów pomyśleć: rzeczywistość to świństwo — publiczność wali drzwiami i oknami na sztuki współczesne, a kierownicy artystyczni dają nura w sztuki Ostrowskiego, Moliera, Fredry, Schillera, które nie mają tej siły ideowej, co tamte. Ale tak rozumować może tylko ktoś istotnie niezorientowany... Rzeczywistość jest inna. „Kret” wystawiony w Teatrze Narodowym według autora artykułu uratował honor tego teatru. Otóż niczego nie uratował, a już najmniej honoru. Natomiast zachwiał poważnie względą równowagę teatru: załamał plan finansowy i frekwencyjny. Publiczność nie przychodziła na sztukę, przez co teatr „ideowo wychowywał...” puste krzesła.

KOMU TO POTRZEBNE?

Nie poruszalbym tej sprawy, gdyby w niej nie tkwił problem dość poważny i ogólny.

Trzeba powiedzieć na wstępie, że zło tkwi w nas samych. Ludzie teatru sami się powoli zagryzają, sami przyczyniają do fatalnych w praktyce następstw. Ci sami ludzie inaczej wypowiadają się o repertuarze współczesnym przy stoliku kawiarnianym, a inaczej, kiedy zabierają głos oficjalnie. Mówię o repertuarze, który jest do dyspozycji, a nie o tym w marzeniach. Zawieszę było dla mnie zagadką następujące zjawisko: reżyser o sztuce mówi z pianą na ustach, aktorzy zrozpaczeni miętuszą po nocach rolę, kierownictwo artystyczne woli się w teatrze nie pokazywać, wreszcie po premierze widownia świeci pustkami — słowem wszyscy są idealnie zgodni (rzadkie zjawisko) co do oceny sztuki. A mimo to sztuka jest grana w teatrze. Komu więc u diabła potrzebna jest ta premiera? Kto decyduje, że poważne nakłady finansowe zostały utopione bezpowrotnie, a publiczność systematycznie jest zrażana do teatru? A no — zastanówmy się właśnie, komu. Recenzent w enigmatycznym artykule po długim kołowaniu wykruszył wreszcie, że chociaż sztuka jest itd. — to jednak taka pozycja jest potrzebna, bo problematyka współczesna, bo ukazuje jakiś tam kawałek rzeczywistości. Wprawdzie schematyzm, ale z czasem to zniknie, wydobrzeje, a więc warto zobaczyć, koniecznie. Wszyscy wiedzą, że recenzent był nieszczerzy, ale wiadomo ogólnie, że tak musiał pisać, by zachęcić czytelników do pójścia na spektakl, a inne teatry do wystawienia sztuki. Trzeba młodej dramaturgii pomagać...

Prasa literacka także notuje z satysfakcją nowy dramat, dodając przy okazji, że wprawdzie sztuka nie wejdzie do literatury światowej, ale autor uczynił znaczny postęp, rokuje najlepsze nadzieje. I w ogóle inspiracja z zewnątrz a raczej nacisk na teatr, ze strony czynników zewnętrznych prze do wystawienia sztuki. Wydaje mi się, że w tym nacisku należy szukać przyczyn wystawienia słabych sztuk. Czy to źle, że różnymi środkami wpływa się na wystawienie polskiej sztuki współczesnej? Niewątpliwie — w ostatecznym rozrachunku jest to konieczne, gdyż inaczej na dziesięć takich obecnych premier ukazałaby się jedna, a może też nie. Ale trzeba sobie powiedzieć, że istnieje gdzieś granica, istnieje czerwona kreska, poniżej której wieje tylko chłód na widownię. Nie można tej granicy przekroczyć, gdyż wtedy każde rozumowanie będzie błędne, nie znajdzie potwierdzenia w rzeczywistości. Dlatego nie należy generalizować spr-

wy, uważając że każda premiera współczesna jest zjawiskiem dodatnim. Nieprawda, częstokroć jest to zjawisko ujemne. Wspomniałem o stronie finansowej tego zagadnienia, o szkodliwym wpływie na plany teatru, o zniechęceniu ludzi teatru, ale jest jeszcze jedno ważne: nam nie wolno popełniać na widzu harakiri. Kiedy toczy się piękna batalia o napływ nowego widza do teatru, kiedy każdy nowy robotnik czy chłop na spektaklu jest ciężko wypracowanym sukcesem — nie wolno dawać mu namiastki sztuki, bo to spowoduje odpływ tego widza, który być może na długo od nas odejdzie. Z punktu widzenia naszej polityki to będzie zbrodnia. Jeśli sztuka jest słaba — nie należy jej grać i basta. A już każde zachęcanie do wystawienia jej w teatrze — stanowi jaskrawe zaprzeczenie tego, o co w polityce kulturalnej chodzi. Nie trzeba ubolewać, że teatry unikają sztuk słabych, ale za to współczesnych — to bardzo mądre z ich strony. Raczej ubolewaniem należy poczęstować naszą współczesną dramaturgię, która jest, jaka jest. Od czasu do czasu daje się zauważyć w prasie szczegółowy przejaw aberracji umysłowej: twierdzenie, że za zły stan naszej dramaturgii jest odpowiedzialny teatr. Przecież to nonsens. Żeby nie wiem jak przyrządzać kawę zbożową — to zawsze będzie zbożowa. I skąd pretensja do gospodni, że ta zbożowa nie stała się kawą brazylijską pierwszego gatunku?

CO ZA DUŻO — TO NIEZDROWO

W tej bitwie o wystawienie wybitnej miernoty zatraciliśmy już wszelkie zdrowe proporcje. Doprowadzono do tego, że jeden z poważnych dyrektorów teatru w Warszawie zapowiedział wystawienie sztuk odrzuconych, nie będących na poziomie nawet współczesnej dramaturgii. I co ciekawe, ów dyrektor — człek zdecydowanie rozsądny i pełen żarliwości ideowej — uważał, iż takie stanowisko jest wyrazem artystycznej i politycznej awangardy. Rozumiecie?

Nie Słowacki, Wyspiański, Mickiewicz lecz współczesne, odrzucone na kolegiach ramoty; nie Fredro mu się wymarzył, lecz t. zw. „produkcjonik”. Niewesoło.

A wszystko to razem jest dyskutowane, jak gdyby sprawa naszych klasyków literatury była już rozwiązana, nie ciekawego w niej nie było i wszystko zostało tu zrobione.

Tymczasem utwory Słowackiego i Wyspiańskiego ilustrując walkę narodowo-wyzwoleńczą Polaków — te utwory leżą sobie cichutko, a polski świat teatralno - literacki dyskutuje nad „Baską”, „Kretem”, „Stajnią Augiasza” i „Zdarzeniem”.

ABY UDAĆ — TRZEBA SZTUKI

Nie można wystawiać sztuk słabych i spodziewać się entuzjazmu. Nie można słabo wyrobionego widza kształcić na materiale, który się do tego nie nadaje. „Aby udać — trzeba sztuki” — mówi Czesław w „Zemście”. Właśnie. Trzeba sztuki. Nie można powiedzieć, że nie wystawiamy naszych klasyków. Owszem wybieramy pozycję najmniej dyskusyjne, przy czym realizacja ich jest czysto akademicka.

A więc wybiera się — jak powiedziałem — sztuki najmniej dyskusyjne, ale tu trzeba od razu powiedzieć: dla kogo są one najmniej dyskusyjne, kóż to z kim dyskutuje? Czy ludzie teatru będą dyskutować np. „Wesele” Wyspiańskiego z punktu widzenia sceniczności tego utworu i jego zalet ideowo-artystycznych? Taka dyskusja nie może wśród twórców teatralnych istnieć choćby dlatego, że dyskusanci merytorycznie będą najzupełniej zgodni. Dyskusja powstaje dopiero tam, gdzie ogólnie znane fakty zaczynają być przynajmniej dla jednej ze stron niedostępalne. Teatr to trochę pechowa dziedzina sztuki, dlatego, że na tym terenie częściej niż gdzie indziej decyduje ignorant. Taki ignorant nie zawsze jest w stanie zrozumieć zawilego procesu twórczości i jej specyfiki — natomiast prawie zawsze stoi wobec konieczności wydawania własnego sądu na ten temat. O nieprzebrnięciu w takich okolicznościach bardzo łatwo. A więc nie dla twórców teatru sztuka musi być najmniej dyskusyjna, a żeby była grana. I znów wracamy do problemu nacisku zewnętrznego na teatr. Czy np. kierownik artystyczny teatru decyduje w pełnym znaczeniu tego słowa o repertuarze? Diabła tam decyduje. On się przeważnie dowiaduje o pozycjach repertuarowych. Nie należy rozumieć tego, że CZT narzuca teatrowi do grania konkretne utwory. Tak oczywiście nie jest. Ale wybrana pozycja stanowi wypadkową różnych okoliczności — pływających zarówno z pracy teatru, jak i z zewnątrz. Splot okoliczności warunkujących wybór sztuki jest taki obfity, że wypadkowa niesłychanie zawęża możliwości wyboru.

Ograniczyć do minimum interwencje osób niekompetentnych, pobudzić inicjatywę repertuarową samych teatrów, to chyba rzecz słuszną. Nie należy się bać potknięć i błędów, jakie na pewno się zdarzą. Bardziej groźne są trąby jerychońskie nawołujące do wystawiania miernoty. Te trąby trzeba trębaczom wepchnąć do gardła — niech im tam grają do końca dni.

Nad tym warto się zastanowić.

W dniu 29 listopada naród albański obchodził 10 rocznicę swego wyzwolenia



NEDJAE DINE ZAIMI

Opowiadanie o wojnie narodowo-wyzwoleńczej.

W następnym numerze w dyskusji nad repertuarem teatralnym zaberze głos Jerzy Pomianowski.

Z DYSKUSJI WYBORCZEJ

EGZAMIN KANDYDACKI

ANDRZEJ
SOROCZYŃSKI

Poszedłem do szkoły, gdzie miałem spotkać się z Tomaszkiem, kandydatem na zastępcę radnego olsztyńskiej WRN. Nie było go tam. Dwie młode nauczycielki siedziały ze znużonymi minami w klasie, robiąc konspekty do jutrzejszych lekcji. Zdziwiła się wiadomość o moim przyjeździe. Ale jak spotkanie ma dojść do skutku, to trzeba przygotować salę szkolną, bo w świetlicy brak pieców. Wkręciliśmy w jedną z sal żarówki, zawiesiły aktualne hasło. I zapewniły mnie, że jeśli rzeczywiście sołtys zawiadomił ludzi to z całą pewnością przyjdą.

Nie upłynęło dziesięć minut, a salka wypełniła się tak szczerze, że ci, którzy przyszli później, musieli stać w korytarzu.

Przeszliśmy do większej sali. Przewodniczący Gromadzkiego KFN przeczytał z kartki: „Otwieram zebranie poświęcone zapoznaniu się z kandydatem na zastępcę radnego do WRN w Olsztynie, obywatelem Antonim Tomaszkiem, rolnikiem-spółdzielcą ze wsi Pasarek w gm. Boguchwały”.

Tomaszkiewicz wstał zza stołu. Był wyraźnie zaniepokojony. „Ciekaw jestem jak zacznie taki nieprzygotowany” — pomyślałem z niepokojem.

— Te Florczyki to ładna wioska, duża — powiedział i momentalnie na sali ucichł gwar. — Ładna wioska, nie ma co. A gospodarze tu dobrzy. Czysto w obyczajach. Tylko mi się jedna rzecz nie podobała. Widziałem takie dwie stodoły, co się wałają, a szkoda. Bo jak się zabezpieczy wcześniej, to potem nie ma takich kłopotów. U nas we wiosce, znaczy się Pasarku, była taka duża stodoła po jednym jurniku, co uciekli w czterdziestym czwartym roku. Przedtem to my się nią nie opiekowali. Kto zresztą mógł korzystać z takiego wielkiego budynku. No i trochę zniszczył się. Ale my teraz, będzie już pół roku jak założyliśmy spółdzielnię i właśnie remontujemy tę szopę. Jakaśmy, znaczy się osiedleńcy, do tej naszej wioski Pasarka przyjechali — wiele to lat? — dziewięć chyba — to dwa miesiące jak jakieś Cygany pod lipą co tam taka duża stodoła, mieszkali i ognisko palili zaczęli zagospodarowywać się. A teraz to i krowy

mamy, i radia grają, że przyjemnie przejeżdżać wioską tak muzykę wszędzie słysząc.

Mówił i mówił. Opowiadał jak radził sobie w pierwszych latach, jak doszło do założenia spółdzielni. Potem usiadł:

— Zmęczyłem się, człowiek nie przyzwyczajony do przemawiania. Teraz wy pytajcie.

Pierwszy wstał Żukowski, wysoki, o szczupłej twarzy z obfitym zarostem, w odzieniu zdradającym, iż przyszedł tu prosto z pola.

— Ja to bym chciał wiedzieć, jaka ta wasza wioska, obywatelu kandydacie. Skupione domy czy rozrzucone? Bo od tego wiele zależy jak się chce spółdzielnię założyć.

— Mała, razem dwanaście gospodarstw, wszystkie po sąsiedzku. Z tego dziewięć jest w spółdzielni.

Żukowski, nie czekając aż przewodniczący zebrania udzieli mu ponowne głosu, powiedział:

— Ja sobie tak myślę, że jak nasza wieś jest bardzo duża, to my musimy, aby założyć spółdzielnię, zrobić takie trzy grupy. I współzawodniczość pomiędzy nimi, która wcześniej więcej ochotników będzie miała. U nas sto gospodarstw, a od jednego do drugiego ładny kawałek drogi.

— Racja — zawołał ktoś z sali.

— Mądrze mówi — przytaknął inny.

W grupie koło sołtysa podniósł się szmer niezadowolenia. Porozmawiali jeszcze niektórzy z Tomaszkiem o spółdzielni, podowiadali się jak i co.

— A może macie jakieś zale? Nasz kandydat chętnie posłucha, sprawę w województwie czy w powiecie przedstawi — powiedział przewodniczący zebrania.

Wstał Kamiński, gospodarz a jednocześnie pracownik poczty. — Mamy niby świetlicę. Sala duża, ładna, ale w niej pusto. Gorzej — woda podchodzi pod fundamenty i budynki niszczeje. I to trzeba, abyście obywatelu kandydacie zapisał sobie i poruszyli, gdzie nam

leży. Taki majątek nie może się zmarnować, mam rację?

— Masz — powiedziało kilku chłopów naraz.

Tomaszkiewicz notował.

— Druga sprawa obywatelu kandydacie. Sala jest, ale bez pieców, bez mebli. Nie ma świetlicowego. A ludzie chcą się zabawić, pospiewać, potańczyć.

Dziewczyny stojące przy drzwiach pisywały głośno na znak aprobaty.

Teraz zabrał głos inny z obecnych.

— My we Florczykach nie chcemy być pokrzywdzeni. Ludzie z innych wiosek chodzą do kina, a tu jest nie. Do najbliższego kina wiejskiego mamy siedem kilometrów pieszo, a do powiatu, do Morąga, że-

by się dostać to trzeba iść parę kilometrów do wioski Żabi Róg a stamtąd jechać koleją. Z filmem to u nas byli ostatni raz w lutym, z teatrem i przedstawieniami to w ogóle nie przyjeżdżają. My z innymi, gliny, czy co? A żeby jakiś z powiatu fachowiec przyjechał i coś takiego ciekawego opowiedział, to już dawno tego nie było. Czy my gorsi od innych wiosek? Jak trzeba się wywiązywać względem państwa to w porządku i powiat nas chwili często, a jak do nas z jakąś rozrywką, to nie ma. My tu od was żądamy, żebyście, jak będziecie tym wojewódzkim radnym, załatwili.

Zahuczały oklaski tak silne, aż zadrżały zamglone szyby.

Noc była późna, kiedy przewodniczący proponował, żeby przejść

teraz do świetlicy, gdzie odbędą się występy.

Wojskowy zespół zagrał poleczkę. Ludzie uśmiechali się, wyprostowali przygarbione chłodem plecy. Na scenę wyszedł niewysoki blondynek, konferansjer z morąskiego PDK. Powiedział jakiś dowcip, obecni parsknęli śmiechem. Kontakt został nawiązany. Potem śpiewała dwudziestoletnia chyba, czarna dziewczyna „Romantyczne tango”. Melodia była banalna, ale głosik uderzał świeżością, wzruszeniem. Sala przyjęła ją mocnymi oklaskami.

— Wiecie, towarzyszu — trącił mnie ktoś w ramię — to tutejsza dziewczyna z Florczak. Ona teraz w Morągu, na szkołach.

I znów wyszedł konferansjer. Nawiązał zresztą do piosenki i wyrecytował mickiewiczowskie „Goleń” czy strzyżono”.

Sala zanosiła się od śmiechu. — Ot, widzicie — dodał konferansjer.

Są tacy uparci ludzie. Mów jemu, że czarne, a on będzie twierdził na odwrót. Jest u nas taki gospodarz (tu wymienił nazwisko, którego nie zapamiętałem), nie spieszący się z odstawami. Mówi: zawsze zdążę, co tam termin. Słuchacze skwitowali to głośnym śmiechem. Popłynęły melodie.

W kątku sali Tomaszekiewicz rozmawiał po cichu z chłopami. Zyskał już dość zaufanie tych ludzi, uważających go za swego kandydata, wyraziła słusznych żądań. Dawno minęła moja złość, rozproszyły się obawy. Od pierwszych chwil zebrania wiedziałem: ten człowiek, o sposobie bycia tak odmiennym od znanych mi aktywistów, zdał swój wstępny egzamin kandydacki. Teraz nabierałem przekonania, że gdy poznał się z odpowiedzialnym za życie województwa olsztyńskiego, będzie bił się o to, aby częściej w tej sali dźwięczała muzyka, słowo poezji i rozlegał się serdeczny śmiech.

Najtrudniejsza

Władysław Machajek kandyduje obecnie do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie. W czasie okupacji brał udział w pracach konspiracyjnych rad narodowych. Opowiadanie osnute na tle rzeczywistych zdarzeń i faktów, które miały miejsce w czasie działalności autora jako przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej w Miechowie.

RED.

Kończył się lipiec roku 1944. Wiadomo jak wtedy było: z tamtej strony Wisły już przemawiano językiem nowych czasów mając ku temu pełne pokrycie. Ale i z tej strony Wisły SS-mani, zandami, formacje Wehrmachtu zapomnieli, że są niezwykłości. Posuwając się pieszo bitymi traktami przy byle strzale rezygnowali z honoru żołnierzy Führera, uciekali, rozpraszali się, a przy jeździe samochodami rzucali się na platformy. Podnosili głowy dopiero dotarłszy do większych skupisk i swą władzę, swą przewagę wykazywali wobec ludności. Po wsiach panowali partyzanci.

Od czasu do czasu spoglądaliśmy z drogi kąpielkowskiej w stronę położonego w dole Wolbromia, w środku którego poruszały się mundury, a na granicy błyskały rydyle przy kopaniu rowów obronnych. Zresztą mogliśmy widzieć coś patrząc tylko w tę stronę, natomiast od wschodu i północy ubogie dachy chat zdawały się wpadać wprost w las. Od południa bliskie widoki zasłaniały jaskrawo nasłonecznione zboża nie skoszone lub zestawione w solidne miedle. Nadszedł czas pewności siebie. Kukulki siadały na gałęziach drzew, ale nikt nie pytał tych prokrętych stworzeń, ile partyzantów zostało jeszcze dni życia...

Skierowaliśmy się do chałupy myśląc o przyjemnym chłodziu wewnątrz. Chałupa była nędzna, tynk wydzobiały deszcze obnażając kamienny szkielet. Z boku na most wykręcił gospodarz o guzowatej, odkrytej głowie — ciągnął kilku-metrowy konar niegrubego buka. Tak mi się pomyślało: „wjeżdża”, bo gospodarz nazywany przyjacielsko demokratycznie obywatelem Walentym sam ciągnął owo drzewo, niby koń — postonki wyznaczyły mu się w ramiona. Na mój widok zrobił coś w rodzaju dygu, co mnie bardzo zażenowało. Bo ja najgoręcej nienawidziłem całego złozzonego systemu niesprawiedliwości.

gdy mordęga łamała mi kości, gdy słony pot żarł moją skórę, a ktoś nastrojony spacerowo obserwował mnie. Taka nienawiść była ślepa, jaka fizyczna, wiedziałem to, ale w ten sposób dodawałem namienności nienawiści teoretycznej. A tymczasem obywatel Walenty robił wrażenie wdzięcznego. Za co? Może zawiądnął nim już obraz lepszej przyszłości? Może ktoś mu szepnął, że jestem odpowiedzialny za zorganizowanie Powiatowej Rady Narodowej, która będzie walczyć tym terenem? Szybko dałem nura w ciemną sień, z sieni do izby i od

„Kaleka”, członek sztabu, KPP-owiec i bereziak o twarzy nie tyle ponurej, co zakrzepłej w niewesołych refleksjach — zmarszczył się jakoś i powiedział mitygująco:

— Jeszcze się życie dobrze po nas przejeździe.

Nie chciałem, by tak brzmiał akord dyskusji więc wystąpiłem w charakterze, zda się, pośrednika.

— W każdym bądź razie obywatel Walenty nie będzie ciągnął drzewa niby koń...

— Właśnie — przytwardził sam obywatel Walenty w jakimś lekko-

Pięcior pod Końskie nie kwapił się do nieprzymuszonej rewizyty.

Co, reakcja uznaje naszą przewagę?

— A cóż ona tak rozpuściła włosy, jak wiedźma — zdumiał się „Biały”.

— Nie — rzekł „August” — ona udaje, że wie co to była Canossa.

Dziedziczka P. zawsze nosiła ciemne włosy z przebijającą lekko siwą pieczolowicie upiętą w walek. Jakież więc powód dzisiejszego niechlujstwa? Czyżby rzeczywiście w ten bardzo prymitywny sposób wyrażała skurczę za swoje i swoich przodków winy wobec naszych ojców i dziadków? Właściwie za wcześniej, nie byłymy przygotowani na to, zacięliśmy usta, żeby przypadkiem nie skompromitować się protestem. A tymczasem nastroj legendarnej prawie Canossy zdawało się potwierdzać pochylone ciało stangreta i zwieszony łeb gniadego konia.

Dziedziczka — zapukała, poczekała na zaproszenie i wolno przestąpiła próg. Pozdrowiła z wahaniami, prawdopodobnie niepewna czy my, diabły wielcone, przewracający wszystko do góry nogami, nie wysłaliśmy jakiegos rewolucyjnego hasła na powitanie.

— Proszę... co obywatelka sobie życzy? — spytał „Biały” starając się zaakcentować obojętność.

Nie wiem czy dziedziczka zrozumiała intencje dowódcy oddziału AL, ale zrobiła ukłon i włosy jej dosięgły kolan.

— Ja w sprawie lasu...

— Co za las? — „załatwiał” dalej „Biały”. — Czyjego lasu? Pani lasu?

— Tak proszę panów...

— Aha! Aha! — Głos „Białego” był teraz mieszaniną zwycięskiej dąwiny i surowości.

— Ale, proszę panów... proszę obywateli — mówiła coraz szybciej, nie panując nad zdaniami — chłopi rąbią las. Czy to na wieki mój las? Panowie lepiej wiedzą jak będzie... Trzeba zakazać rąbać las. To skarb narodu. — I tak dalej.

Poruszyliśmy się groźnie, jakbyśmy dawali do poznania, że uważamy dyrektywy ludzi w zasadzie już pokonanych, za bezcelność, a właściwie chcieliśmy niejako otrzaskać z siebie ten dotkliwie parzący narzut czwartej sugestii. Słusznie, jednak upokarzającej. Kto nam dyktuje zakaz wyrębu lasu? Dziedziczka? Zamieni nas w stróża za-



Rys. Janusza Łupina

razu znalazłem się w gąszczu dyskusji o przyszłości — tej bliskiej, tej za granicą zburzonego starego świata. Słowa płynęły wartko i okrzęgło, niby z pękającego strąku. Pełnymi barwami ukwiecało się oszczędny broszurowy program PPR. Sekretarz Okręgu Partii, towarzyszu „August”, mówił głosem jak zawsze miękim a zmuszającym do uwagi:

— Człowiek pracy pozbędzie się na wieki troski o jutro. — I tak dalej.

Dowódca oddziału partyzanckiego „Biały” przeciągał, jakby lubował się timbrem swego dźwięcznego głosu:

— Obszarnicy pójdą na grzybki. — I tak dalej.

Znalazłem w przewodniku po Sandomierzu takie zdanie: „sprawa wodociągów ma swoją historię, sięgającą czasów jagiellońskich. Już Zygmunt Stary popierając prośby sandomierzan...”.

Tego samego Zygmunta śmiem posadzić o złośliwość pod adresem potomości, skoro urządzone za niego instalacje elektryczne... stop... stop... wyjaśnię. Idę ulicami miasta wieczorem. Ciemno i głucho. Lampy są, ale nie świecą. „Urzednik” obraził się. Nie zapala ich od jakiegoś czasu wystawiając Sandomierz na pośmiewisko księżycza. A śmieje się ten stary psotnik, figlar, nie lypiąc okiem, Kiedy któryś z przechodniów zechce samorutnie zapalić taką lampę. Trzeba bowiem zapalać za pomocą... kontaktu na słupie. Toteż niektóre z nich, raz zapalone, świeciły po kilka miesięcy, aż dobrotliwy czas zakończył ich cierpliwy żywot.

Do osłobowici Sandomierza należy również ciekawa historia. Było i jest kino, a w tym kinie był kierownik. Dzwoniłście do kina, odzywał się oczywiście kierownik; ale jak się odywał? Trzeba było słyszeć.

— Tu mówi „Hrabia Monte Christo”.

sprawności działania wspomnianego przedsiębiorstwa. Ktoś już kiedyś powiedział: Sandomierz nie ma jakos szczęścia do rady narodowej i jej prezydium. Hm, o szczęściu tu gadać nie ma co. Oczywiście wszakże wydobyła Sandomierz, kiedy nowowytbrana rada zabiera się solidnie do roboty. A mieć jej będzie huk, tym Sandomierz, że przepaszy 10 lat. Wiekosz, żeche niewątpliwie działać teraz z energią wypoczętego, rzeźkiego młodzieńca.

Program Wyborczy zakłada dalszy rozwój produkcji zakładów przemysłowych w Dwikożach, Włostowie i Sandomierzu, cegielni, betoniarń oraz innych zakładów przemysłu drobnego i rzemieślniczego. W dziedzinie komunikacji w okresie najbliższych trzech lat zostanie przeprowadzona gruntowna naprawa nawierzchni drogi między Sandomierzem a Osiekiem, ponadto wybuduje się 12,7 km dróg bitych gromadzkich i 10 km dróg powiatowych. W siedzibach gromad w powiecie utworzy się 11 placówek pocztowo-komunikacyjnych, 24 gromady otrzymają urządzenia telefoniczne.

A w samym Sandomierzu? Wybuduje się nowe budynki mieszkalne o 84 izbach, odda się do użytku spo-

łeczństwa oczyszczalnię ścieków. Wyremontowane będzie 548 izb mieszkalnych. Powstaną 3 nowe szkoły w niedalekim Osieku, Olszowicach i Gołzicach, nowe przedszkola, punkty felcerskie, zaplanowano remont szpitala powiatowego w Sandomierzu i rozbudowę pogotowia ratunkowego.

Oczywiście rzeczy to niełatwe do zrobienia a przecież jakieś możliwe, jeżeli... jeżeli planom tym, które chcą Sandomierz odmienić zupełnie, otworzyć jego okno na szeroki i piękny horyzont, towarzyszyć będzie energia i troska nowowytbranych rad — miejskiej i powiatowej, jej członków, wybranych przez miejscowe społeczeństwo.

Zwiedzając zaś kiedyś, w niedalekiej przyszłości to miasto, z rozkładem „Orbisu” i z zamiarem spotkania z „nowym” nie zapomnijcie zapytać o: „Hrabiego Monte Christo”; pokonił się malarzowi, co w sztydach robi; sprawdź stan parku i spróbować własnoręcznie zapalić lampę przyuliczną. Jeżeli zastanie jakieś zmiany, nie zdziwiecie się, jak... brama opatowska, której szeroko rozwarte wrota też nadziwił się nie będą mogły, radośnie przytakując: doczekał się Sandomierz, doczekał.

Było to w Sandomierzu

ZYGMUNT WÓJCİKOWSKI

„...Co się w Sandomierzu zmieniło w ciągu ostatnich 10 lat Polski Ludowej? Chyba to jedynie, że przybyło więcej ruder, domy stały się brudniejsze, ulice bardziej może zamieszane, park taki opuszczony i zaniedbany...” (z prasy lokalnej — „Życie Radomskie”).

Zachęcony tymi opisami Sandomierza i okolice myślę „raz kozie śmierć”; mimo jesieni, udaje się w niewygodną, włokącą się na tutejszych liniach pociągami podróż. Niektórzy, którym znane są nabożności palenia tytoniu, lub — jeszcze gorzej — łowienia ryb, twierdzą, że namiętność turystyki jest silniejsza od poprzednich. Jest ku temu sprzyjający mimo wszystko okres — złota, piękna jesień; jest nawet podróż — zajrzenia tu i tam w tym okresie „generalnych porządków w terenie”, okresie przedwyborczym. Tak, czy inaczej efekt ten sam — niech licha porwie siedzenie na jednym miejscu — wybieram piękny, niemal sportowy sposób włóczenia się z rozkładem „Orbisu” i programem wyborczym Sandomierskiego Komitetu Frontu Narodowego w ręku.

Jest przepodunnie; zmęczony podróżą wysypując się z pociągu razem z dziesiątkami sobie podobnych i pocągnięty ich przykładem — biegnę. Na razie nie wiem, po co. Zagadka wyjaśnia się — przed dworcem oczekuje samochód, dychawiczna szkapla o mechanicznych płucach, które kaszla, parszają, lub też utrudzone wspnianiem się drogą ku rynkowi warczą ze zmęczenia i gniewu. „Przyczółek” sandomierski wspina się, aby wreszcie zatrzęsnać się na samym środku drogi u jej ujścia do rynku. Już w autobusie dowiaduję się w rozmowach o „całym początku”. Było to w roku 1945, kiedy świetnie rozwijający się ruch kulturalny w Sandomierzu — nawet nie zapowiadał jeszcze „przesilenia”. Zorganizowano wystawę prac miejscowych artystów, która zgromadziła około 150 pozycji z zakresu malarstwa, rzeźby, grafiki, polichromii i sztuki stosowanej. Mówiło się wówczas o Sandomierzu, jak i częstokroć później, „jedy przyjeżdżał tutaj J. Iwaszkiewicz; coś z tego wyniknie. Do spraw związanych z pobytom tego wybitnego pisarza powrócimy je-

szcze w innym miejscu oddając tymczasem głos mieszkańcom. Mówili oni o wystawie portretów przodowników pracy, zespołach artystycznych dorosłych i dzieci, które zorganizowano, o tym, że „ich” zespół chóralny otrzymał na Festiwalu Muzyki Polskiej w Kielcach, odznaczenie. Pisali wówczas w różnych pismach, że „Sandomierskie nie jest ugiem kulturalnym”. A no, nie jest — mówią i teraz, choć w głosie brzmi cichutka nuta smutku. Nie jest. To prawda; dowiaduję się jednakże, że miejscowy Dom Kultury w dziwną jakąś popadł senność a jeden malarz sandomierski z zamachem „pędzlujący” spore i niezłe płótna zmieniał kierunek biegu swego pęga oddając się całym sercem sztydomanii. Kto go wie zresztą, czy całym sercem — nikt z nas nie ma prawa sądzić uczuć artysty, którego przekorne życie namówiło do desperackiego czynu. Nikt tego nie mówi, bo w Sandomierzu ostatnio Wisła nawet — zmęczona drogą od samego Krakowa, zwalniając tutaj biegu — leniwie odpoczywa na piaszczystych mieliznach a latarnie uliczne na złość swemu przeznaczeniu pogubiły jasne promienie światła. Do tych latarni też trzeba powrócić, bo nie ostatnią one w historii Sandomierza odgrywały rolę.

Więc co — zapytacie. W tym Sandomierzu osłabło życie kulturalne? Nie wierzęcy? Odsyłam więc wszystkich zainteresowanych do Sandomierza. Im to mieszkańcy powiedzą więcej — czego chcą; co potrafi i dlatego rozpędzony do dalekich lotów gród zatrzymał się w połowie tego podniebego szybownia.

Przyjeżdżał często do Sandomierza Jarosław Iwaszkiewicz. Miejsce społeczność zorganizowała pewnego roku i liczny wzięł udział w jego wieczorze autorskim, a gorące serca wielbicieli talentu pisarza zgłaszały mu serdeczne przyjecie. Historia nie podaje wprawdzie kto w czasie nieobecności pisarza w mieszkaniu ozdobił drzwi różami, ani nawet nie mówi z jakiego źródła wiadomość ta pochodzi, podajemy ją jednak za przykład gorących uczuć i rozpedu, jakiego tak natchnione miasto nabierało do wspomnianych już podniebnych lotów.

Z DYSKUSJI WYBORCZEJ

Sieć biblioteczna w Gdyni

JANUSZ
KOWALSKI

Program wyborczy MKFN w Gdyni mówi: „Nastąpił wielki rozwój czytelnictwa. W Gdyni istnieje 27 bibliotek miejskich o księgozbiorze wynoszącym 100.000 tomów”.

W jaki sposób zorganizowane są te biblioteki?

Wszystkie one są filiami Miejskiej Biblioteki Publicznej mieszczącej się przy Skwerze Kościuszki. 27 filii posiada więc jedną centralę. Organizacyjnie nie jest to dobrze. Stan taki powoduje, że zbyt wiele spraw, często drobnych spraw, koncentruje się w jednym punkcie, że np. rachunek za naprawienie zamka w filii musi podpisać sam dyrektor Biblioteki, że zaopatrzenie materiałowe poszczególnych filii jest scentralizowane, co powoduje częste i uciążliwe przejazdy pracowników itd.

Postawmy więc pytanie w inny

sposób: jak powinna być zorganizowana sieć bibliotek w mieście takiej wielkości jak Gdynia?

Zgodnie z poglądami autorów polskich i obcych (głównie radzieckich) i zgodnie z obowiązującymi obecnie Tymczasowymi Normatywami Urbanistycznymi, w mieście takim jak Gdynia powinien istnieć gmach główny Biblioteki Publicznej, usytuowanej w możliwie mało ruchliwym punkcie śródmieścia, ale blisko centrum komunikacyjnego miasta, z dala od hałasów, w otoczeniu zielonym, parkowym, następnie szereg (3 lub 4) bibliotek dzielnicowych i tzw. osiedlowe zespoły biblioteczne obsługujące bezpośrednio mieszkańców danego osiedla mieszkaniowego w liczbie 2—10 tys. osób.

Najwłaściwszym miejscem w Gdyni na usytuowanie gmachu główne-

go Miejskiej Biblioteki Publicznej jest pl. Grunwaldzki lub jego bezpośrednie okolice. Plac ten ma się łączyć z zielonym bulwarem nadmorskim i z parkiem kultury i wypoczynku. Projektowanym na Kamiennej Górze. Będzie to stosunkowo sycy plac zebrań ludowych.

Biblioteki dzielnicowe powinny powstać w Orłowie lub Małym Kacku dla dzielnicy południowej, w Obłuzu lub Oksywiu dla dzielnicy północnej, w Chylonii z zasięgiem na Grabówkę i Cisowę oraz w Rumii po ewentualnym przyłączeniu jej do miasta. Śródmieście obsługujące byłoby przez gmach główny Biblioteki.

Jakie są zadania bibliotek dzielnicowych?

Zarządzanie siecią filii bibliotecznych (osiedlowych zespołów bibliotecznych) i organizowanie czyteln-

stwa na swoim terenie. Biblioteka dzielnicowa powinna być ogniwem pośrednim pomiędzy osiedlowym zespołem bibliotecznym a biblioteką główną, powinna zaspokajać potrzeby tych czytelników, dla których dojazd do biblioteki głównej jest utrudniony. Biblioteki więc dzielnicowe powinny powstać w pierwszej kolejności w dzielnicach, które w najbliższym czasie nie uzyskują dogodnego połączenia z centrum miasta. W przypadku Gdyni pod tym względem długo jeszcze będzie upośledzona dzielnica północna miasta. Tam więc w pierwszej rzędzie powinno pomyśleć się o budowie biblioteki dzielnicowej.

Ludność Obłuzu i Oksywiu pozbawiona jest kontaktu z urządzeniami kulturalnymi miasta. Połączenie komunikacyjne tych dzielnic z centrum zawsze będzie okężne ze względu na tereny portowe. Istniejące tam obecnie lokale są zbyt ciasne. Nie można w nich zorganizować czytelnicy ani też prowadzić form pracy masowej z czytelnikami. Nie ma tam także żadnego innego lokalu, w którym można by prowadzić prace masowe z czytelnikami. Toteż połączenie w jednym budynku biblioteki dzielnicowej na ok. 20 tys. tomów i świetlicy — sali na ok. 200 osób jest zupełnie uzasadnione. Budynek taki byłby na razie namiastką Dzielnicowego Domu Kultury. Powinien on stanąć na zakończeniu jakiejś lokalnej osi urbanistycznej, być łatwo dostępny ze wszystkich części dzielnicy, a przede wszystkim powinien być możliwie szybko zbudowany. Trzeba na ten cel przeznaczyć jakies sumy, chociażby na razie na opracowanie założeń projektowych i dokumentacji technicznej.

Podobna sytuacja istnieje i w innych dzielnicach. Az dziw, że w no-

wych osiedlach planuje się i buduje sklepy, przedszkola, żłobki i szkoły, ale zupełnie lub prawie zupełnie pomija się planowanie i budowę bibliotek i czytelni. Paradoksem jest, że w nowych osiedlach przerabia się lokale sklepowe na cele biblioteczne, a nie buduje od razu właściwych pomieszczeń.

Niezależnie od bibliotek dzielnicowych, które w małej liczbie 3 lub 4 nie obsługuje całego wielotysięcznego miasta, istnieją filie biblioteczne przeznaczone każda dla 2 do 10 tys. mieszkańców. Filie te, w formie najprymitywniejszej, to wypożyczalnie książek. Jest ich dużo w każdym mieście, ale ich warunki pracy są najczęściej, mówiąc jak najogólniej, bardzo przykre. A przecież to placówki dźwigają na sobie główny ciężar organizacji czytelnictwa, przecież to one w głównej mierze wypełniają zapotrzebowanie czytelnice, to one są dostarczycielami liczb do oficjalnych, jakże dumnych, statystyk czytelnictwa. Trzeba tym placówkom przyjść z pomocą. Trzeba je rozbudowywać do formy osiedlowych zespołów bibliotecznych, składających się z wypożyczalni książek oddzielnie dla dorosłych i dla młodzieży, i z czytelni dla dzieci.

Załączków takich osiedlowych zespołów bibliotecznych istnieje dziś w Gdyni 27. Będą powstawały coraz to nowe. Chodzi o to, aby pomyśleć o budowaniu dla tych osiedlowych zespołów bibliotecznych specjalnych lokali, urządzonych w sposób właściwy, zgodny z zasadami budownictwa bibliotecznego.

Już niedługo rozpocznie się zabudowa terenu pomiędzy ul. Abrahama, 10 Lutego i torami. Na obszarze tym przewiduje się lokalizację 1 biblioteki. Może to być i wystarczyć dla nowozabudowywanej przestrzni, ale obok tego trójkąta istnieją znaczne tereny zabudowane, na których nie ma lokali właściwych dla celów bibliotecznych. Na obszarach tych nie ma nawet czasami

miejsc na wzniesienie odrębnego budynku osiedlowego zespołu bibliotecznego ew. połączonego ze świetlicą. Wypożyczalnie książek mieszczą się tam dziś w całkowicie do tego celu nieprzystosowanych i nie-możliwych do przystosowania lokalach sklepowych. Rozwój handlu i obsługi obywateli będzie wymagał kiedyś oddania tych sklepów spowrotem instytucjom handlowym. Czyż nie lepiej już dziś je oddać, a w zamian za to wybudować lokale dla bibliotek na obrzeżu nowozabudowywanego terenu między ul. 10 Lutego i Abrahama.

Lokale na obsługiwane tereny nowe i stare. Lokali takich trzeba by przewidzieć 6 lub 7. Sprawa warta jest chyba zachodu. Sprawa warta jest chyba zmiany wytycznych dotyczących budowy usług w trójkącie: 10 Lutego — Abrahama — tory. Oby tylko podobnego zdania byli odnośnie decydujące czynniki.

Program wyborczy MKFN nie precyzuje dokładnie zadań w zakresie organizacji sieci bibliotecznej, ale program ten nie jest przecież dokładną dyrektywą, lecz jedynie zbiorem ogólnych założeń, które powinny być rozpracowane przez zainteresowane instytucje.

Prace nad dokumentacją techniczną nowego głównego gmachu Miejskiej Biblioteki Publicznej, którego budowa została zapowiadana w programie wyborczym MKFN, zostały już rozpoczęte. Drugim zadaniem jest opracowanie planu organizacji sieci bibliotek dzielnicowych, planu uzdrowienia sieci filii bibliotecznych, (osiedlowych zespołów bibliotecznych) ich rozmieszczenia i wyposażenia lokalowego. Plany takie powinny być opracowane w oparciu o plany urbanistyczne i powinny uzupełniać te plany. Trzecim i najważniejszym zadaniem — konsekwentna realizacja powyższych planów.

Trzeba mieć nadzieję, że przyszła Miejska Rada Narodowa Gdyni pomoże w wykonaniu tych zadań.

decyzja

OPOWIADANIE

WŁADYSŁAW MACHEJEK

garniętych narodowi dóbr? No, takiej perfidii, choćby wynikającej tylko ze splotu brzemiennych okoliczności, nawet Machiavelli by się nie powstydził. Więc chodźcie nam w końcu o to, żeby dziedziczka nie wyszła z izby podniesiona na duchu i żeby nasza decyzja nie zachłaniała w ludności nadziei na bezwarunkową kłeskę dworów.

— Niech pani przestanie uważać las za swój. Dwór i las — grubym głosem oświadczył „Kaleka”.

Siatka włosów na twarzy dziedziczki nie pozwalała dostrzec jak przyjęła oświadczenie, przez smutki dymu dobrze widziałem tylko wpół otwartą usta z wyrazem nabożnego poddania. Kłamiwe ono było czy nie, nikt nie dociekał, w każdym bądź razie zachowanie penitki udobruchało nas wewnętrznie. I kiedy dziedziczka jeszcze raz poleciała las naszej pamięci, „Biały” zarezczył chętnie.

— My tę sprawę właśnie rozprawyliśmy.

Po wyjściu dziedziczki „Biały” jakoś dziwnie cichnął śmiechem, że to sprytnie splawiliśmy czarnego intruza...

A przecież nie można było operować lichutkimi fortelami, gdy chodziło o wielkie sprawy i o ważne postanowienia. Przez kilka minut w solidarnym skupieniu wpatrywaliśmy się w falujące leniwe franki dymu w oknie. Ech, żeśmy się też nie zorientowali, co się w lasach dzieje opuściwszy te lasy na początek lipca.

Co robić? Ci, co nas ślepo kochali, mieszcząc w tym uczuciu święte przekonanie o nie gierkowej walce z klasami posiadającymi, gotowi nas podejrzać o obłudę, gdy podejmujemy decyzję, z której się będzie cieszyć dziedziczka.

— Trzeba rozstrzygnąć — zauważył wreszcie „August”.

— Ja idę trochę poćwiczyć z żołnierzami — powiedział „Biały” niezwykle uroczysto i przechodząc wskazał na mnie. — Sprawa lasu to sprawa cywilna, naszej przyszłości, do ciebie ona należy. Jesteś przewodniczącym Powiatowej Rady Narodowej? Pokręć trochę głową.

— Stusznie — zdecydował „August”. — Niech przemyśli i przedstawi nam projekt... Przecież nie będziesz zwolywał całej Rady, sprawa nagła.

Zostałem w izbie sam z natłokiem żrących myśli w głowie. Szukałem pomocy w lekturze ostatnich dwóch numerów „Rady Narodowej”, pisma Krajowej Rady Narodowej. Nie

znalazłem analogii, która by mi pomogła praktycznie rozwiązać wielki problem. Postanowiłem przeprowadzić „wizję lokalną”. Od tego trzeba zaczynać, żeby z decyzji wykluczyć działanie impulsów.

Z nieba buchał żar, w ustach było gorzko, w oczach szczypało jak od smolnego dymu. Z północy najedźdał na mnie szum potężny, galopujący: zda się stada słoni tratowało las. Na zboczach lasu rosła marna drzewina — brzoźki, olszyna. Wyżej drzewina była tylko przetykana grube buki i dęby, nierzadko dziuplaste. Tysiące spleatanych korzeni wiązało w ziemi wilgoć, miliardy zielonych płuc wchłaniało dwutlenek węgla... Stuk siekier, zgrzyt pił był coraz bliższy. Nieraz po siekaniu żandarmskich i SS-mańskich cekaemów, a raz po nalocie samolotów niemieckich na skupienia partyzanckie widziałem lasy nierzadko, oskubane stożki, ale doznawałem tylko nienawiści. W ten dzień zaś drzewa ogolone z gałęzi, podrywane u korzeni piłami umyślnie miały mi nieogarnięty jeszcze w skutkach obraz kaletwa nie tylko lasu jako takiego, lecz i całej ziemi. Byliśmy odpowiedzialni za obronę stanu posiadania narodu — inaczej stracilibyśmy zaufanie do siebie.

Wreszcie wszedłem w krąg roznamietionych łatwą zdobyczą rebraczy. Zawiesili siekiery w powietrzu lub oparli się na nich, zatrzymali pily w oczekiwaniu, co im powie człowiek z pepeszą na ramieniu. Na drożynie przyszłej i miejscach wykarczowanych stały konie przy rozkarczanych wozach. Obywałem Walenty krztałł się z boku sam, już narzucał na barki powróż, niczym końskie szleje. Niedaleko w podobnej pozycji zastął inny obywatel.

— Obywatele — powiedziałem — nie wolno niszczyć lasu.

Zjeżyli się. Wysoki, barczasty chłop o zuchwałych oczach zaśmiał się wyzywająco i machnął siekierą.

— Nie wolno — powtórzyłem.

— A co pan ma do tego? — wykrzyknął i pod moim surowym spojrzeniem zniżył głos, w którym czuło się ostrzeżenie: — Za gajewę go się pan zgodził u dziedziczki?

— Obywatelu... możecie sobie tak mówić do członków pańskich organizacji. Ja występuję w imieniu Powiatowej Rady Narodowej. Korzyść z postanowienia o zakazie dzielnego wyrębu lasu będzie miał naród, nie dziedziczka.

— Jaki naród? Jaki... — zapytał

obywatel Walenty i uciał pokornie. Była w tym zacukanu niewątpliwie wiekowa bojaż przed szerokością, łatwo jednak odkrywałem podejrzliwość Walentego opartą na wiekowych także doświadczeniach, że jego i jemu podobnych żaden dotychczas rząd nie wliczał do narodu w korzysztaniu z praw.

Wracając z „wizji lokalnej” przysiadłem w wawozie, kołem się cieniłem i szkiełkowałem pierwsze rozporządzenie Powiatowej Rady Narodowej, której mgławie władanie rozciągało się od Wolbromia do Miechowa. Rozporządzenie przeformowane przez filtr chyba najtrudniejszej decyzji. Oddbte na maszynie w kilkunastu egzemplarzach przyległo za dwie godziny do konarów drzew na wszystkich skrajach lasu. Przeważało pojęcie stałych wartości nad tanią popularnością.

A jednak męczył mnie i wszystkich nas fakt, że obywatel Walentowie przyjęli rozporządzenie jako akt klasowej krzywdy. Przed wieczorem Walenty mówił melanchoicznie, patrząc w siatkę drobnych owadów obejmującą drzewa, w których znikną na noc.

— Każde rozporządzenie zawsze przyoskalo biednych. Bogaci zawsze jakoś wyszli na calo... Zresztą oni nażarli się już po uszy, a zrec chcą tylko przez chciwość. Ja od razu se pomyślałem jakiesie wspomnieli, że nie będą ciągnąć drzewa niby koń, że coś się święci niedobrego...

Przymknąłem oczy, by ukryć ból. Jakże upórzywie trzeba będzie w przyszłości uczyć rzesze ludzi, od suwanych przez wieki od rządzenia, odpowiedzialności za kraj. Ileż razy nasze rozporządzenia będą narazne na podejrzenia, ileż razy pod dobrem będą ludzie szukałi zła. W owej chwili nie mogłem inaczej przekonać Walentego o tym, że jestesmy prawdziwymi i jedynymi reprezentantami jego interesów jak tylko ustnym dodatkiem do rozporządzenia.

— Niektóre drzewa w lesie, te najstarsze, już lysieją na wierzchołkach. Takie możecie ciąć.

Rozporządzenie przestało być rysą w stosunkach z obywatelom Walentem. Oczy jego stały się błyszczące. Żeby nie dać się wzruszeniu, pokazał na motyla pikującego nad głowami w gałąź.

— Podobny do chorągiewki, prawda?

Świat był piękny. Na zachodzie u nieboskłonu czerwień rozkładała się na kształt ognistych chust.



Tadeusz Sygietyński

Jego oryginalny talent, oparty o gruntowną znajomość muzycznego metier, pełen świeżości, twórczy stosunek do ludowego autentyczności — dany w połączeniu z długoletnimi studiami te jedyną w swoim rodzaju syntezę folkloru polskiego.

W „Mazowszu” Sygietyński rozwinął i pomnożył najcenniejszy folklor polskiej wsi. Realistyczny rozmach jego pracy wpłynął zasadniczo na obecny rozwój sztuki ludowej na wsi. Wydawałoby się, że na kształceniu i doskonaleniu „Mazowsza” mógłby poprzestać każdy... ale nie Sygietyński.

Niestrudzony w swych twórczych poczynaniach, pragnie zsić w Polsce Ludowej drugie marzenie swego życia — podnieść do godności sztuki zaniedbany w ciągu wieków folklor miejski swej ukochanej Warszawy. I znów pomimo choroby z najwyższym nakładem sił rozpoczyna poszukiwania. Jeszcze raz podejmuje cały ciężar prac organizacyjnych, osobiście wybiera z wieńsetek zgłaszających się na apel dziewcząt i chłopów najmuzykalniejszych, wyróżniających się szczególnymi zdolnościami do tańca i śpiewu. Powstaje zespół Pieśni i Tańca „Warszawa”. Wybrani przez niego wiedzą doskonale, że tworzą nową historię swego miasta — historię Warszawy. Jej żywiołowa radość i

uśmiech jest dla Sygietyńskiego najpiękniejszą za jego trud nagrodą.

A oto, co mówią o sobie. swojej pracy i swoim mieście — kierownik artystyczny Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”, i „Warszawa” — Tadeusz Sygietyński i kierownik literacki, Stanisław Ryszard Dobrowolski:

„Obaj — jak wszystkim wiadomo — jesteśmy zagorzałymi warszawiakami. Bez przesady można powiedzieć, że Warszawę uważamy za naszą ciśniejszą Ojczyznę, której jesteśmy żarliwymi patriotami.

Gdyby nas pytano, co w naszym mieście rodzinnym uważamy za wartość najcenniejszą, bez wahania — przy wszystkich zastrzeżeniach — odpowiedzielibyśmy i odpowiadamy: naszą młodzieżą, warszawską młodzieżą.

To nie żaden frazes, że Warszawa

będzie taka, jaką będzie nasza młodzież. I dlatego dla niej chcielibyśmy uczynić jak najwięcej.

Nie jest również frazesem, że rzeczy wielkie rosną z małych. Bez fałszywej skromności chcemy dla warszawskiej młodzieży, dla naszej Warszawy tworzyć rzeczy małe, z których naszym zdaniem urosną rzeczy wielkie.

RYSZARD LINDENBERGH

Waldemar Babinicz

„W okresie Dziesięciolecia przeżyliśmy się przez Pawłowice i Rożnicę z górą 2400 chłopów i dziewcząt... Młodzież zgłaszająca się lub kierowana do tych ośrodków przez ZSCh lub ZMP pochodziła ze środowisk biedniackich lub robotniczych. Wielu, zwłaszcza w pierwszych latach Niepodległości, uciekało uprost ze służby u kulaków”. Tak napisał we wstępie do swych opowiadań* dyrektor Liceum Kulturalno - Oświatowego w Rożnicy, Waldemar Babinicz, którego książka poświęcona jest latom walki o nowy typ działacza kulturalnego na wsi.

Z rożnickiej szkoły dumna jest cała Kielecczyna. To stamtąd wychodzą najlepsi kierownicy świetlic, to tam młodzież podczas lat nauki chodzi po okolicznych ani raz i odległych wsiach i organizując w nich życie kulturalne uczy się praktycznie swego pięknego zawodu. To w Rożnicy jest zawsze najlepszy na Ziemi Kieleckiej młodzieżowy, regionalny zespół pieśni i tańca składający się z uczniów liceum.

Dzięki pomocy liceum pobliskie gromady, przede wszystkim zaś sąsiednia spółdzielnia produkcyjna w Rożnicy, stają się coraz bardziej kulturalne. Na koncerty kieleckiej orkiestry symfonicznej, odbywające się pod gołym niebem, przychodzi ponad 1500 chłopów. Rozwinęło się czytelnictwo literatury pięknej i fachowej, rolniczej.

Wiosną 1953 roku byłem w Rożnicy po raz pierwszy. Spółdzielcy



Waldemar Babinicz wśród chłopów rożnickich na jednym z wieczorów dyskusyjnych na temat literatury współczesnej.

nie mieli wtedy, jeszcze swojej świetlicy. Przewodniczący spółdzielni, tow. Zuchowicz, oburzył się, gdy to spostrzegłem. — Jak to — mówił — przecież jest w Uniwersytecie Ludowym (taką nazwę nosiło wtedy liceum k.o.), a to zaledwie parę kroków. — I dodał przekonaniem: — Przecież to wszystko jedno. Spółdzielnia i szkoła to jedna rodzina. W ich świetlicy czujemy się niczym w swojej.

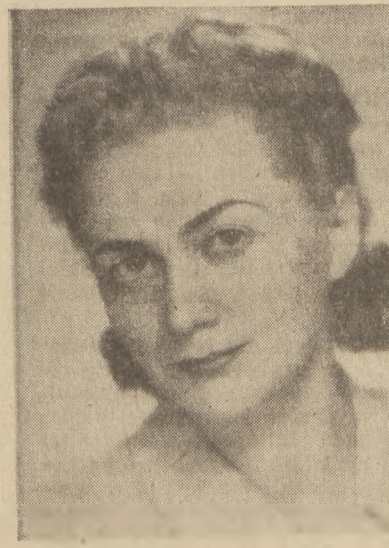
Mięło od tego czasu półtora roku. I znowu trafiałem do Rożnicy. Tym razem był listopad, wprawdzie ciepły i słoneczny, ale park wokół pałacu, w którym mieści się szkoła, ogolony z liści, wywoływał wrażenie smutku i przygnębienia. Trwało to jednak tylko chwilę. Bo oto rozpoczęła się rozmowa ze spółdzielcami. Mówili o własnej świetlicy, która czynna jest już we wsi niezależnie od szkolnej, o własnym

zespole pieśni i tańca, który istnieje niezależnie od licealnego, o piekarni spółdzielczej znanej w całej okolicy z wypieku... smacznych ciastek, o budującej się łaźni. I kiedy tak szta opowieść spółdzielców o ich coraz lepszym życiu, ten i ów odwracał się i serdecznie uśmiechał do dyrektora rożnickiego liceum. Nie trudno było zrozumieć, że wiele z tego, co mają, głównie zaś budowyż życia kulturalnego we wsi, zaudzieczając osobistej inicjatywie i pomocy Waldemara Babinicza.

Nie pytałem więc już ani ich, ani jego samego, czym się kierowali wysuwając go na kandydata do Wojewódzkiej Rady Narodowej. Nie było to potrzebne.

B. BARTOSZEWICZ

* Waldemar Babinicz: „Zapalone pochodnie”, wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1954.



Seweryna Szmaglewska

zasłużonej sławy w Polsce i poza jej granicami. Szmaglewska, jak każdy człowiek o dużym poczuciu odpowiedzialności, pisze swoje rzeczy powoli i z rozważą. Wiem, że ostatnie lata strawiła ona nad powieścią, której akcja dzieje się w okresie międzywojennym w okolicach jej rodzinnego Piotrkowa. Powieść ta pt. „Prosta droga Łukasza” ukaze się w roku przyszłym nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Będzie to na pewno dzieło ciekawe, o dużych wartościach ideowo-społecznych. Co chciała w niej autorka przedstawić? Jakich ludzi i jakie sprawy? W jakich warunkach powieść ta powstała? Oto pytania, na które radzibymy usłyszeć odpowiedź od samego pisarza.

— Pisałam moją powieść — zwierza się Seweryna Szmaglewska — trzy lata. Bohaterem jej jest Łukasz, wiejski parobek, koleje jego losu stanowią główne tło mojego utworu. Akcja dzieje się na wsi, w mieście i w więzieniu, gdzie Łukasz „uczępnił” swoją gorzką edukację. W części powieść moja oparta jest na autentycznych wydarzeniach, wykorzystywałam w

tym celu zarówno własne przeżycia, jak i istniejącą dokumentację o tamtych czasach. W ciągu tych trzech lat zajmowałam się, naturalnie, wieloma innymi sprawami. Brałam udział w akcji wyborczej do Sejmu, jeździłam z odczytami na Mazury, byłam w Związku Radzieckim. Niejedną godzinę poświęcałam pracy w Komitecie Frontu Narodowego, poza tym proszę nie zapominać, że wiele czasu zajmują mi dzieci, które wymagają nieustannej opieki.

Od siebie dodam, że Seweryna Szmaglewska jest pisarzem o czujnym sumieniu społecznym, co nie pozwala jej odgrodzić się ani na chwilę od bieżących wydarzeń w kraju i na świecie. Świadczą o tym jej działalność publicystyczna: artykuły i wypowiedzi dotyczące najróżnorodniejszych zagadnień współczesności. Są to bez wątpienia znamiona pisarza socjalistycznego, który nie stwarza sztucznego podziału między pracą swoją i pracą całego narodu, lecz przeciwnie: widzi tych prac stąły, pogłębiający się nieustannie związek.

J. K.

SŁOŃ NA BIEGU NACH

BOLESŁAW MICHAŁEK



Baltazar, syn króla Babilonu, znany z wyprawienia uczty, w czasie której tajemnicza ręka wypisała na ścianie trzy groźne słowa — nie posługiwał się bronią palną. Nawet w najbardziej dramatycznych okolicznościach, kiedy Cyrus zdobywał Chaldeję. Tymczasem afisz filmu przedstawia wyciągniętą dłoń z rewolwerem i napis „Uczta Baltazara”.

Ów przygotowany do strzału rewolwer może, jako reprezentant treści, wzbudzić wątpliwości. Jednak ustalenie związku między bieżącym królewiczem, przedstawianym przez imitatora Veroneza, a treścią filmu — przypadkami Andrzeja Uriaszewicza w Polsce Ludowej — nie wydaje mi się być rzeczą bez znaczenia.

UCZTA BALTAZARA A SŁOŃ

Niedawno ogłoszono w „Przeglądzie Kulturalnym” artykuł, którego autor, Jerzy Płażewski, domagał się rehabilitacji „pomysłu” w filmie. Wyjaśnił przy tym, że przez pomysł rozumie „klucz ideowy” do ukazania rzeczywistości; wyjściową sytuację fabularną, która zrodziła akcję, odsłoniła konflikt, przewartościuje bohaterów, wypowie tendencję — w sposób pozornie niezamierzony. Wskazywał zatem, jeśli go dobrze rozumiem, na jedną z dróg do pokonania wulgarnie ilustracyjności; mechanicznego i bezpośredniego przenoszenia konfliktów ideowych w dziedzinie sytuacji fabularnych (otrzymał zresztą replikę, która wydaje się nieporozumieniem; dowodzonego w niej bowiem, że w „Niedaleko Warszawy” jest „pomysł”, który na nic się nie zdał, bo film kiepski. Toż w „Niedaleko Warszawy” ani śladu „pomysłu”, a właśnie ilustracyjność najczystszej wody!). Ostatnio na zjeździe filmowym Antoni Bohdziewicz, wspominając świetną, realistyczną komedię włoską „Dzień dobry, słoni!” (której punktem wyjścia jest wprowadzenie młodego słonia do rzymskiego mieszkania na 4 piętrze) zawołał: „Stawiam wniosek, by do każdego polskiego filmu wprowadzić słonia!”.

Otoż jest słon. Nie taki, o jakim go upominał się Bohdziewicz, ale jest. Dla niepoznaki zwierzę to przybrało kształt kopii obrazu Veroneza. Andrzej Uriaszewicz szuka po kraju zaginionego dzieła chcąc zarobić na jego sprzedaży — oto wyjściowa sytuacja, pomysł, słon. Stąd wyniknie konflikt, który przebiega przez kraj w pierwszych latach powojennych. A, że konflikt ten pogłębia się w przeżyciach bohatera, czas na chwilę porzucić ogród zoologiczny pomysłów.

URIASZEWICZ ZE SCENARIUSZA I RODAK Z WARSZAWY

Mamy do czynienia z bohaterem inteligentkim, który w specyficznej sytuacji pierwszych powojennych lat doznał za granicą rozczarowań, do Polski nie nabrał przekonania — i tak zawiśł pośrodku. Stał się człowiekiem obojętnym na sprawy kraju, odrobinę cynicznym, biernym.

Tu wyniknie niezwłocznie sprawa aktora. Jerzego Pietraszkiewicza. Otoż, Pietraszkiewicz bezspornie stworzył charakter. Bohater przez niego odtwarzany jest kims, kogo poznamy w tłumie nadmorskiego miasteczka — nie po jego sylwetce nadyje — ale po jego sylwetce psychicznej. To już dużo. Nie wydaje mi się jednak, by charakter nadany bohaterowi przez aktora był w stanie odsłonić w tej mierze rzeczywistość polską, w jakiej

chciał to uczynić scenariusz. Odajmy najpierw głos autorowi powieści: „Jest (Uriaszewicz) bierny podwójną biernością. Biernością wahającego się inteligenta. Biernością charakteryzującą pewne elementy klas pośrednich. Ale jest bierny nie tylko tą biernością. Jest bierny na skutek pewnego porażenia powojennego. A ściślej biorąc: popowstaniowego”. I dalej: „...z Andrzejem jest coś nie w porządku. Tak samo jest coś nie w porządku z bohaterem słynnego filmu „Niepotrzebni mogą odejść”. To nie w porządku mianowicie, że ów bohater jest ranny”. Byłoby źle, gdyby kreacja Pietraszkiewicza zmierzała do stworzenia typu inteligenta, błędzącego po Polsce — jak ów John po irlandzkim mieście — niezdolnego do podejmowania najelementarniejszych decyzji: słowem — gdyby aktor zagrał wylęczone na strunie popowstaniowego porażenia. Ale obawiam się, że Pietraszkiewicz poszedł za daleko w stronę przeciwną. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że stworzona przez aktora sylwetka, to raczej jakiś — prawda, że w inteligentkim i odległym wydaniu — „rodak z Warszawy”, który od razu w 45 roku sprzedawał na gruzach kartofelki ze słonina. Że to człowiek zdrow na ciele i duchu bez nadmiernych wątpliwości, z niejaką skłonnością do cwaniactwa i optymizmu, z dużą porcją uczciwości i rozsądku już na wstępie. Chwała Pietraszkiewiczowi, że jest „warszawski”, ale wątpliwości są innej natury. Rodak z Warszawy ostatecznie nie zbłądził, a Uriaszewicz ze scenariusza (i książki) mógł zbłądzić. To było właśnie pasjonujące. Kreacja aktorska zaraz na początku bohatera uprzytywniła, co odebrało filmowi sporo pasji — jeśli oceniać miarą książki.

Nie jest moim zadaniem ustalenie stosunku między literackim pierwowzorem, a filmem. Mówię o obydwu Uriaszewiczach dlatego, że podstawowy dla filmu, wewnętrzny konflikt bohatera — przejście z pozycji obojętności, a nawet wrogości, na pozycję twórczej pracy — stracił nieco na ostrości: w Uriaszewicz, tworząc aktora, niewielkie dokonują się zmiany. Jeśli doszło do ograniczenia przemiany moralnej Uriaszewicza, to siła, z jaką nowe życie wtargnęło w jego świat — zredukowała się również. Wytworzyła się znamienina dla naszej sztuki sytuacja: ukazuje się wypadki, które mogłyby bohaterem wstrząsnąć, zmusić go do zwrotu o 180 stopni; niestety, wypadki te dokonują jedynie nieznacznej korekty jego postępowania i jego światopoglądu.

MOTOR I MOTORKI

A i sposób przedstawienia owych rewolucyjnych wypadków jest rzeczą pierwszorzędnej wagi dla ideowej wymowy utworu. Upraszcza — i to znacznie — sprawę, można by stwierdzić, że przemiany dokonujące się w Uriaszewicz, proces jego „resocjalizacji”, mógłby przebiegać albo pośród wypadków, wynikających z szybkiego zdarzenia ze sobą zmieniających się środowisk — albo opierać się na dynamicznej, spójnej i jednolitej akcji, w którą wplątano bohatera. W pierwszym wypadku mielibyśmy model dramatyczny zbliżony do „Celulozy”, o rozluźnionej, epickiej budowie. Byłoby tu więc miejsce na spokojną obserwację nowego, rodzącego się życia, na wprowadzenie szeregu ubocznych wątków, postaci, epizodów (były to — sądzę — model dramatyczny, odpowiadający konstrukcji powieści). W drugim wypadku otrzymalibyśmy model klasyczny: musiałoby dojść do ograniczenia tamtych ele-

mentów na rzecz dynamiki głównej linii fabularnej.

Miedzy dwiema krańcowymi formami jest oczywiście miejsce na cały szereg rozwiązań pośrednich. Która z tych form jest dla typu bohatera i dla typu wydarzeń właściwsza?

Scenarzyści wybrali rozwiązanie zbliżone do drugiego z tutaj wymienionych. Do czego mieli w zasadzie pełne prawo.

Odwolajmy się jednak na wszelki wypadek do klasycznego utwo-

ru ze słoniem, do „Martwych dusz”. Dla Gogola kupno martwych dusz było „pomysłem”, pretekstem do ukazania XIX-wiecznej Rosji. „Pomysł” spełnił swą ideową funkcję, ale... Ale to, co było pretekstem dla Gogola, nie było wcale pretekstem dla Czyżykowskiego. Kupno martwych dusz, to dla niego najsilniejszy bodziec do działania. A w „Uczcie”? Prawda, że Uriaszewicz wraca do kraju po to, by odnaleźć obraz, że myśkuje w tym celu po Warszawie, zawiera znajomości. Prawda

— choć to już sprawa mniej przekonywująca — że właśnie dla odnalezienia obrazu przyjmuje posadę nauczyciela, pertraktuje z księdzem Spossem, odnajduje Kinzla. Ale na tym koniec.

„Uczta Baltazara” nie utonąła w przedostatniej sekwencji filmu. Utonęła znacznie wcześniej. Pojawienie się jej w Oliksie — to już pedanteria autorów, którzy robią porządek z wątkami. Pointa filmu — skompromitowanie obrazu — spełnia, wyobrażam sobie, w intencjach autorskich taką rolę: „Patrzcie, jak niepotrzebnie uganiał się bohater za obrazem. Niepotrzebnie? Wcale nie, bo zobaczył, co się w kraju dzieje, zmienił się itd”. Skompromitowanie obrazu miało być jednocześnie podkreśleniem jego charakteru pretekstowego.

Obraz Veroneza w powieści, jako pretekst wiodący po kraju, po jego problemach i konfliktach, przyjmowaliśmy za wystarczający. Dramatyczne wypadki i rodzące się z nich przemiany bohatera wynikały ze świetnie odmalowanych w powieści środowisk, a nie z pretekstu. Jeżeli jednak w scenariuszu położono akcent na dynamiczną akcję, rysunek środowisk z konieczności skurczył się; obowiązek rozenia wypadków, popychania akcji spadł więc na Veroneza. Zamiast funkcję pretekstu, powierzono obrazowi funkcję nieporównanie odpowiedniejszą: głównego motoru akcji. A, że obraz w połowie utonął, przez scenariusz przebiega znamienina szczelina.

Poczyna się szukać nowych motorów, a raczej doczepnych motorów, które będą akcją dalej popychać. W powieści takie motory stały w pogotowiu i ruszały, gdy bohater tylko się zbliżył. W scenariuszu trzeba było wyciągać z dna morskiego razem z zatopionym kutrem.

Za wcześniej zawołałem: „jest słon”. Może to pół słonia, a może drewniany słon na biegunach, który raz tylko wprawiony w ruch, rychło przestaje się kołysać.

p. o. KONKLUZJI

Szczelina, o której mowa, jest dostatecznie szeroka, aby w innym filmie powpadali w nią bohaterowie razem ze swymi kłopotami, i żeby konstrukcja dramatyczna rozspalała się. W „Uczcie Baltazara” tak się nie stało. Udało się szczelinę przeskoczyć, zastosować jakąś katapultę do przerzucenia bohaterów na drugi brzeg.

Budowniczym katapulty jest reżyser Zarzycki. Poszedł utartą ścieżką, ale poszedł nią sprawnie i z dużą kulturą. Przede wszystkim nadal filmowi stosunkowo szybki rytm. Zaopatrzył go w dynamiczny, a niekiedy dowcipny montaż. Dodał mu — w tej mierze, w jakiej zezwalała na to konstrukcja dramatyczna — żywych, bystrych obserwacji. Godny uwagi jest zastosowany w filmie spoisty sposób relacjonowania, tak rzadki niestety w filmach polskich. Dzięki temu szczelina została przesadzona i nie od razu spozstrzegamy się, że od połowy filmu plynący raz rzeką, zaś sztucznym kanałem wykopywanym doraźnie dla użytku Uriaszewicza i Stepczyńskiej. Wyjątkiem w tej dziedzinie — i to bodaj jedynym — jest sekwencja sztormu, miejscami sytuacyjnie niezrozumiała i na pewno przeciągnięta. Sądzę, że reżyser uległ tu pokusie dania marynistycznego obrazka — którego doświadczenia brak było w naszym filmie — i zgubił przy tej sposobności Uriaszewicza.

Sprawa reżyserii pełni obowiązki konkluzji. Wykazuje, że zanotowane tu — a może i wyolbrzymione — niedociągnięcia dramatyczne, próbuje się usunąć — że tak powiem — we własnym zakresie. Środkami reżyserskimi nie dokonano może cudu ożywienia drewnianego słonia na biegunach, ale w każdym razie dokonano tego, że słon porusza się miarowo przez półtorę godziny.

A to jest bardzo dużo, zważywszy na znane powiedzenie o nudzie i kontrowersji — dwóch syjamskich siostrach.

Koncert c-moll Beethovena w Filharmonii i trzy recitale. W programach recitali Chopin i Liszt, Schumann i Szymanowski, Czajkowski, Szostakowicz i Prokofiew — wśród bisów Ravel i Rachmaninow. Grał — w Warszawie, w listopadzie 1954 roku — jeden z największych pianistów współczesnych, Sławosław Richter.

*

Beethoven wyznał w jednym ze swych listów, że nie umie pisać bez fortepianu. Kiedy zaś przyszła ostatnia nawet głuchota, nadal siadł do instrumentu. „By jednak słyszeć choć ślad jego głosu, zamknął w zębach jeden koniec cienkiej drewnianej deseczki, a drugi jej koniec wspierał o napinającą struny ramę” — opowiada jeden ze współczesnych.

Wstrząsający jest obraz kompozytora pochylonego nad głuchą klawiaturą, otoczonego coraz głębszą i coraz straszniejszą ciszą świata, usiłującego mimo wszystko posłyszeć niezmiernie daleki głos swego fortepianu. Przecież nie umiał bez niego pisać...

Jego fortepian. Kiedy dziś widzi się owe nutowe kammerklariery i flugelfortepiana tamtej epoki jedno staje się jasne: to nie były i nie były instrumenty. Instrumenty Beethovena i Chopina, Schumanna i Liszta. Jeśli nawet Beethoven czy Chopin nie mogli w trakcie pisania obić się bez takich klawiatur, to czymże była owa klawiatura? Tylko pretekstem, „trampoliną” do ogromnych skoków wyobraźni — wyobraźni tysiącokrotnie silniejszej, wspanialszej niż możliwości owych pałisandrowych mebelków, wątych strun, pięciokciowych klawiatur.

Tymczasem bywają stylisci, którzy właśnie nad tymi klawiaturami, w muzealnych salkach, szukają prawdziwych Beethovenów i Chopinów. Jak w tedy grać? Jak to w tedy brzmiało? — padają pytania. W domyśle pozostałe horrendalne odpowiedzi: oto ideał prawdy, nowoczesnie obiektywnej prawdy.

Pamiętam doskonale bardzo wybitnego pianistę, który wiedzę o interpretacji Chopina czerpał od jego własnych uczniów, i, jak powiadano, grał podług najwspanialszych dokumentacyjnych wzorów.

Wybaczenie bluźnierstwo: grał nieznosnie, z nieznosną czułościowością, z wyblakłym sentymentem. Nieustannie kojarzył mi się właśnie o „stabiutkim” głosie. Grał „prawdę”? Nonsens. Te „prawdę” dawno już przekreślił Rubinstein, Hoffman, Cortot.

Dlaczego?

Wyobraźmy sobie, że jakiś reżyser w drodze do „szekspirowskiej prawdy” zrekonstruował „Globe”, zreprodukował styl aktorski, gest, manierę mówienia wiersza i wzór ukłonu w stronę lordowskich miejsc. Jakież to byłoby Szekspir, dziś, w połowie XX wieku? Zabawa dla ciekawych, przeżycie dla snobów. Nic ponadto.

Szekspir dziś realizowany i dziś grany Schumann jest własnością współczesnych, którzy szukają treści swego życia w wątkach dawnych dzieł sztuki. Kto im tę prawdę najdokładniej przybliży — kto w tekście Cyda i w partyturze Beethovena odczyta dramaty naszych czasów ten dopiero osiąga rangę wielkiej współczesnej sztuki. Tylko, na miłość Boską, nie nazwijmy jej pracą „odtwarczą”. Taki reżyser staje się wykładawcą sztuki kompozytorskiej — taki artysta tworzy nową wielkość starych mistrzów.

Wydało mi się, że takim właśnie artystą jest Sławosław Richter.

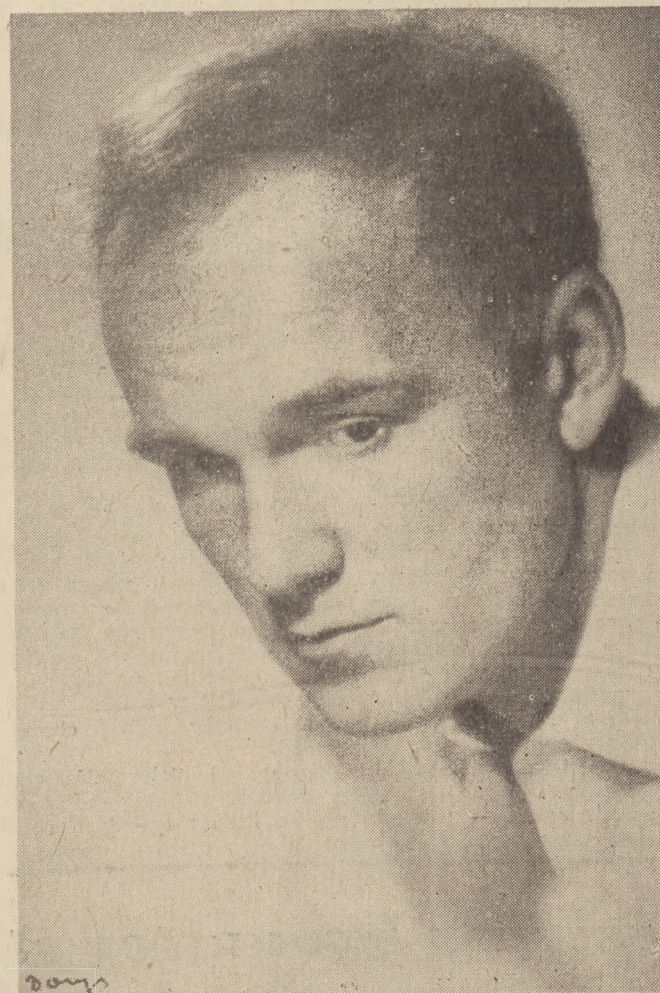
*

Richtera można nazwać wielkim pianistą dramatycznym. Ale żadnej hysterii, żadnych demonizmów, tkających zalamana frazy i efek-

ciarskich gestów w jego sztuce się nie odnajdzie, chociaż taki dramatyzm znamy skądinąd — i to właśnie u wielkich muzyków. (W poszukiwaniu za własnym stylem Horowitz na przykład potrafił wymyślić nienapisany kontrapunkt, lub zmienić akcent rytmiczny. Są to — genialne, bo genialne — ale fałszywe. Nie chcę zresztą cytować nazwisk dalej, bo nie chcę zbyt „bluźnić” i to poza tematem).

Richter zaś jest porywający właśnie w swym

Richter



Obserwując sylwetkę pianisty przy instrumencie można by w pierwszej chwili odnieść wrażenie, że wiąże go z klawiaturą nieustanne napięcie pokonywania oporów technicznych. Oczywiście — już po kilku taktach wiadomo: nonsens. Opór, problem, zawitość techniczna tu w ogóle nie istnieje. Pojmują to ze szczególnym zachwytem ci widzowie, którzy słuchają... wlepionymi w klawiaturę oczami. Dla słuchacza zaś ujawnia się inna prawda, ważniejsza niż migot palców w poczynym trylu, podwójnych terekach czy akordowych skokach. Oto Richter jest pianistą o zadziwiającej koncentracji wewnętrznej. Chwilami wydaje się, że cały proces muzyczny dokonuje się w nim samym — że instrument jest tylko zwykłym, mechanicznym przekazywaniem, czymś w rodzaju idealnej czystości głosińka.

Wrażenie to potęgają nawet drobniutki. Oto chwilami gest zawieszony nad klawiaturą dloni wyprzedza dźwięk — jakby tryl, pasaż czy akord zaczynał się już w powietrzu, poza instrumentem, w doskonałym wewnętrznym słyszeniu. Staje się jasne, że całe skupienie, owo niemal bolesne napięcie artysty poświęcone jest Muzyce. Właśnie przez wielkie M.

Swoją drogą doskonałość techniczna Richtera bywa olśniewająca. Ci, którzy kiedykolwiek mieli do czynienia z gorzkim trudem pokonywania oporu klawiatury, z daremnym często trudem pokonywania białocarnych odległości, zawitości i zagadek wiedzy, że nawet słowo doskonałość jest tu nieco zbyt ubogie. Walca-Mefisto i VII Sonata Prokofiewa słyszałem i „widziałem” w realizacji największych wielkości. Realizacja Richtera była dla mnie w obu wypadkach po prostu... prapremiera. To znaczy, że usłyszałem Mefisto i Sonatę po raz pierwszy. Niech mi wybaczą to sformułowanie Arrau i Flier, Petri i Gieseking, Gilels i Horowitz.

*

W słowniku krytycznym można by znaleźć wiele jeszcze tematów i hasel. Na przykład: zmysł konstrukcji, skala dynamiki, pedalizacja, frazowanie...

Pozwól sobie skorzystać ze swych stałych praw felietonisty-dyletanta. Uchyle się od odzewu na tamte hasła. Na koniec bowiem chciałem już tylko wspomnieć o jednym drobnym epizodzie z pierwszego recitalu Richtera.

Otoż po listowskiej części recitalu przyszła pora na bisy — na dwa „Zapomniane walce”. To było jednak mało. Oklaski raz jeszcze zawiodły pianistę do instrumentu — tym razem już nie Liszt, a „Jeux d'eau” Ravela. I oto nagle okazało się, że ów układ bisów ma swój sens... historyczny — że po prostu Richter bisując (!) tłumaczy, które elementy listowskiej inwencji przygotowały grunt pod wyobraźnię Ravela.

Epizod na pozór drobny. Ale tak bardzo charakterystyczny dla kultury pianisty. Każdy recital był bowiem wyraźnie skomponowaną, zamkniętą całością. Dawał historyczne pointy — prowadził do zadziwiających czasem zbieżności stylów czy epok. No i uczył, prosię kolegów, uczył — że można... nie grać Księżycowej, Patetycznej, Campanelli, Seville, Poloneza As, Walca cis a mimo to można porwać salę. — Ze można grać Schumanna z opus 99, Szymanowskiego i Szostakowicza i właśnie porwać salę.

W słowniku krytycznym sprawę taką da się chyba odnaleźć pod hasłem: kultura repertuaru. Należy też dodać prymiotnik — wielką.

JERZY BROSZKIEWICZ

8 października godz. 10, w pociągu na linii Nanning-Ping-Siang.

Wczoraj wieczorem przybyliśmy do Nanningu, przedstawiciele miejscowych władz zgłoszali nam serdeczne przyjęcie. Na dworcu w Nanningu oczekiwali nas także specjaliści wysłannicy ministerstwa informacji Wietnamskiej Republiki Demokratycznej, towarzysze Dao-Trung-Son i Vu-Can. Obaj będą nam odtąd towarzyszyć stale w podróży. Czekać w salonie na wypełnienie formalności hotelowych zjadamy nieprawdopodobnie ilości ananasów.

Hotele chińskie są nadzwyczajne. W każdym pokoju oczekuje gościa termos wrzątku, czajnik, filiżanki i zielona lub zaprawiana jaśminem herbata, którą tylko trzeba zaparzyć. W łazience przygotowane jest mydło, pasta do zębów, płaszcz kąpielowy i pantofle. Szybko zdobywam doświadczenie, że na tropikalny upał najlepiej pomaga gorący tusz i gorąca gorzka herbata.

W czasie kolacji Wietnamczyk Vu-Can wznosi bardzo piękny toast za Polskę i Bieruta. Opowiada nam jak bardzo Polska jest teraz popularna w Wietnamie. Każde dziecko wie, co to jest Ba-Lan, gdzie leży, i kto to jest towarzysz Bierut. Wytwarza się nastroj hardzo serdeczny a nawet wzruszający.

W nocy budzę się o trzeciej, zlanym potem. Wylażę spod moskityery i przyrządzam zieloną herbatę. Za oknem szaleją świerszcze i cykadady. Świecą bardzo jasne gwiazdy, zwłaszcza Wenus jest wielka jak księżyc. Piszę list do żony, bo to jest ostatnia miejscowość, z której można wysłać list pocztą. Nie mogę zasnąć. Świerszcze i gwiazdy nie dają.

Opuszczamy Nanning o 8.30. W nocy sprowadzono dla nas specjalnie wagon sypany. Pociąg z Nanningu do Ping-Siang normalnie takich wagonów nie posiada. Toteż podróż z Nanningu do Ping-Siang, ciesząc się wśród tych co ją już odbywali złą sławą, upływa nam w warunkach niemal komfortowych. Przejedźdżamy przez dziwne piękne i dzikie okolice. Pionowe słupy wapniowców, pod nimi olbrzymie drzewa, największe, jakie kiedykolwiek widziałem. Pomiedzy wapniowcami ciągną się sawanny, przetykane od czasu do czasu wsiami z gliny i kamienia wtulonymi pomiędzy palmy.

Wietnamczycy urządzają nam w ciągu dnia dwie długie pogadanki o aktualnych problemach politycznych. Najbardziej absorbuje ich w tej chwili problem wykorzystywania przez stronę przeciwną religii katolickiej dla skłonięcia, a nawet zmuszenia ludności katolickiej do opuszczenia terenów przekazywanych Republice. W północnej części Wietnamu mieszka około dwóch milionów katolików, z czego ogromna większość w południowo-wschodniej części Deltę, wokół Nam-Dinh. Propaganda polityczna baodajowców używa religii jako środka zastraszania. Argumentacja jest mniej więcej taka: na Północy wszyscy księża zostaną internowani. Jeśli nie będzie księży, nie będzie pośredników między wami a Ojcem Świętym. Jak nie będzie pośrednictwa między wami a Ojcem Świętym, nie będzie pośrednictwa między wami a Jezusem Chrystusem. Nie będzie więc mogli być więcej dziećmi Jezusa, Pana naszego. Będziecie więc potępieni. Pamiętajcie, że dusza Marii przeniosła się już do Sajgonu...

Do tego dochodzą cuda na wzór lubelski z obrazem Matki Boskiej płaczącym nad ciałem tych, co zo-

stają na Północy. Księża baodajowscy organizują procesje udające się na Południe w warunkach przypominających średniowieczne: pielgrzymi nie przyjmują jadła ani napoju, matki nie mające już pokarmu pozwalają swym oseskom umrzeć z głodu, żony trują mężów, którzy odmawiają opuszczenia ojowizny, bo gdyby odeszli tylko od nich, nie mogłyby w myśl prawa kościelnego wyjść po raz drugi za mąż...

żąda repatriacji. Zwraca uwagę okoliczność, że propaganda za ewakuacją kieruje się za szczególną siłą w stronę gospodarzy bogatych i średnich. Chodzi o pozabawienie wsi sprzętu rolniczego, którego biedota nie posiada.

Trong-Son i Vu-Can są młodymi intelektualistami. Obaj pisują wierze. Son pochodzi z rodziny robotniczej. Can jest synem rodziny inteligentkiej. Obaj opuścili przed osiem laty Hanoi. Huan, który ostatnie

mi hevea. Czarne wnętrza gór pulsują wokół graniem świerszczy i żab. Będziemy jechać całą noc. Trzeba się spieszyć, jeśli chcemy zdążyć na wkroczenie wojsk armii wietnamskiej do Hanoi.

Patrzę na zegarek: jest wpół do dziesiątej czasu miejscowego, kiedy odjeżdżamy z wietnamskiej placówki granicznej. Wokół czarna noc zamknięta ze wszystkich stron ciemniejszymi od niej górami. Mimo woli myślę o tym, że w War-

KARTKI^(III) indochińskie

MIROSLAW ŻULAWSKI



Żołnierze i wieśniacy wietnamscy przy posiłku. Ulubioną ich pozycją jest siedzenie w kukli.

W prowincjach ewakuowanych przez Francuzów szaleje propaganda amerykańskich agentów. Głosi ona otwarcie: „Francuzi okazali się słabi, teraz musicie oprzeć się na Stanach Zjednoczonych. Każdy gospodarz, który przeniesie się na Południe, otrzyma na rękę 10 tysięcy piasłtrów, po przybyciu na miejsce tyle ziemi, ile jej zostawił na Północy, przy czym zapewnią mu się podróż i opiekę lekarską na koszt amerykański.

Oprócz środków propagandowych stosuje się również zwyczajny przymus fizyczny, jak łapanie, wcielenie do wojsk marionetkowych, mobilizacja specjalistów. W ten sposób Francuzi i baodajowcy zdołali ewakuować na Południe około 200 tysięcy ludzi, z czego 90 procent stanowią katolicy. Spośród ewakuowanych kilkanaście tysięcy zbiegło już z powrotem na Północ, a wielu

miesiące spędził w Europie, Quat, który ostatnie dwa lata spędził w Pekinie, zwracając mi uwagę na barwę ich naskórka. Jest ciemna, o odcieniu żółci. Słońce i niepogoda dzungli? Nie tylko. Także chroniczna malaria, która zabarwia naskórek żółcią. — powszechne znamię Kadry.

O siódmej trzydzieści wieczorem przybywamy do stacji końcowej. Jest wywieżdżona noc, żaby rechoczą wielkim chórem. Przesiadamy się na samochody stojące w błocie ostatnich deszczów.

Wyboista droga wspinamy się w górę. O ósmej piętnaście jesteśmy u bramy Mu-Nan-Guan, co znaczy Oko Południa. Jest tu chińska placówka graniczna. Ogromny mur i porcelanowy dach Oka Południa oddziela nas z nami na tle gwiazd. Przed nami ziemia Wietnamu przesłonięta trzema olbrzymimi drzewa-

zawie jest teraz wpół do czwartej po południu i że mój synek Łukasz nie wrócił jeszcze ze szkoły. Szukam wzrokiem Wielkiego Wozu i znajduję go wreszcie na skraju nieba w pozycji, w jakiej go nigdy nie widziałem. Jest zupełnie przekrzywiony, zjeżdża z nieba dyszłem w dół jak po katastrofie świata.

Wyboista droga opada wzdłuż zbocza. Nasza kolumna składa się z dwóch Pobied i dwóch samochodów wojskowych typu „command car“. Jadę w Pobiedzie wraz z Kozinem, Strielnikowem i Beba. Milczymy zapatrzeni w nocny pejzaż, który przesuwa się na tle gwiazd jak wielkie zwielnione chmury. Nasz samochód jedzie na czele kolumny zamiatając drogę światłami. Daremnie staram się rozpoznać, czy góry zasłaniające nam gwiazdy są nagie czy też zalesione. Jestem radośnie podniecony. Powtarzam sobie wie-



Wioska nad rzeką i przeprawa.

lokrrotnie, że to już Wietnam, ale prawda ta nie dociera jeszcze do mnie całkowicie. Ciemna ściana nocy, jasna smuga reflektorów na drodze — to mogłoby być wszędzie. Ale nagle wszystko się zmienia, jakby zaczął działać czar tego kraju. Na drogę wpada w świetle reflektorów jakiś żółty, koci kształt i biegnie przed nami w podskokach. Widzę wyraźnie jego szpiczaste uszy i krótki, zadarty ogon. Wspaniały ryś górski. Robi jeszcze parę susów przed samochodem, wreszcie decyduje się skoczyć w wysokie przydrożne trawy, za którymi stoi ciemna ściana czegoś, czego nie można rozpoznać. W tej samej chwili owiewa nas ciężka smuga zapachu, który wyraźnie schodzi z mijanego wzgórza. Czuję mocny, upajający zapach anizu. Nasz przewodnik potwierdza: to pachnie dziki anyżek porastający zbocza.

Po półgodzinnej jeździe samochód staje. Droga się skończyła. Przed nami lśni w księżycu rzeka płynąca środkiem zwielnionej ciemności. Wychodzimy z samochodów, które po dwa wjeżdżają na prom. Motory umilkły, jest zupełnie cicho. Dopiero teraz dochodzi mnie nieustanny dźwięk, jakby powietrze grało, jakby słyszał samo tętno nocy. Wszystkie owady i wszystkie płazy obdarzone własną mową gadają nad rzeką Ky Kung.

Przeprawa całej kolumny przez rzekę trwa pół godziny. Zaraz potem wjeżdżamy między pierwsze zabudowania Lang-Son. Wietnamczycy objaśniają nas, że jest to stara twierdza, strzegąca od wieków bramy do Chin. Do roku 1950 była tu potężna cytadela francuska, wspie-

rająca zasięgiem ciężkich dział izolowane posterunki w górach. Kłeska pod Cao-Bang zmusiła Francuzów ewakuować w październiku tegoż roku całą granicę chińską. Ewakuacja Lang-Son odbyła się w takim pospiechu, że Francuzi nie zdążyli dokonać zniszczeń urządzeń oraz zapasów. Dopiero w kilka dni później lotnictwo francuskie rozpoczęło gwałtowne bombardowanie twierdzy, aby uniemożliwić armii wietnamskiej przejęcie nagromadzonych zapasów. Ślady tego bombardowania widzimy po drodze. Lang-Son jest najciekawszym i najładniejszym miastem pogranicza. Obecnie mieści się w nim placówka Międzynarodowej Komisji Neutralnej. Spodziewam się więc spotkać pierwszych na ziemi wietnamskiej rodaków. Niestety dochodzi już północ i placówka Komisji śpi snem sprawiedliwych. Za to przedstawiciele miejscowych władz i organizacji oczekują nas z sutą kolacją. Wrzucają nas szczególnie to, że czeka na nas grupa małych dziewczynek z tu-tejszej szkoły. Wysłuchujemy ich ślicznych piosenek i natychmiast wysyłamy dzieci spać.

W tej zapadłej, górskiej guszy częstują nas najlepszą francuską kuchnią, aperitifem Dubonnet, winem burgundzkim i szampanem Moet.

Po kolacji prowadzą nas do sali, w której przygotowane są kuszące wygodne łóżka. Namawiają, żeby przenoćować i wypocząć. Po pięciu dobach podróży jesteśmy zmęczeni i oczy nam się kleją. Ale odmawiamy z całym samozaparciem. Jeśli chcemy zdążyć na przejmowanie stolicy, musimy jechać dalej.



Bawół na postoju.

Sprawy do przewietrzenia

JERZY PUTRAMENT

Wszystcyśmy zgodnie wykleli zasadę „sztuki dla sztuki“. Niestety są takie pisma literacko-kulturalne, które zabawiają się w formalizm innego rodzaju: w dyskusję dla dyskusji.

Czy ma sens publikowanie oczywiście bezdurne, byle by później móc „prostować“? Czy rzeczywiście nie ma innych sposobów na wywołanie dyskusji? Czyżbyśmy wyczerpali już wszystkie żywotne problemy naszej kultury, powiedzieli wszystkie prawdy, zdemaskowali wszystkie lipy, naprawili wszelkie niesprawiedliwości naszego środowiska — i z braku tematów zmuszeni zostali do popełniania szaleństw?

Nie umiem się jakoś wzruszyć dramatem tego starszego pana, literat-amatora, który w wydawnictwie ma kłopoty z rękopisem. Znajac dzisiejszą sytuację wśród wydawców i ich nastroje bardzo wątpliwie, czy ten rękopis jest choćby poprawny.

Poza tym zaś znam tylu prawdziwych pisarzy, którym krzywdą stała się na pewno. Czy nie słuszniej wyklądać się o nich? Był taki okres, gdy rzeczywiście wydawnictwa marnowały u siebie czasem cenne rękopisy po prostu dlatego, że ich niedojrzały redaktorzy doszukiwali się w tych rękopisach wykombinowanych przez siebie politycznych braków. Dziś jednak sytuacja jest inna, ilość rękopisów, o które toczy się tego rodzaju walka, da się policzyć na palcach.

Ale przecież niesprawiedliwość wobec pisarzy nie kończy się na trudnościach z wydaniem. O wiele częściej i dotkliwsza jest niesprawiedliwość oceny. Ponieważ krytycy nasi jak tramwaje chodzą

stadami — ponieważ często starszy, by przedownik takiego stada nazwał coś czarnym albo, co gorsza, przemilczał, by wszyscy inni posłusznie uczynili to samo — taka właśnie niesprawiedliwość jest w środowisku literatów najczęstsza.

Z niewiadomych powodów nasze pisma zapominają pewnych nazwisk. Tak znakomita pisarka jak Gojawiczyńska może całymi latami zostawać poza uwagę pism, krytyków, uczonych. O innych wspomina się półgębkiem, podczas gdy każde kichnięcie paru aktualnych „znakomitości“ kwitowane jest zachucyconymi artykułami na dwie i więcej kolumn.

Specjalnie często przemilczanie przez krytykę dotyczy pisarzy pozawarszawskich, którzy nie kręcą się po stołecznych kawiarniach, nie upadają krytykom i recenzentom w oczy. O takim pisarzu jak Jan Brzozga więcej pisała międzywojenna prasa burżuazyjna niż nasza, choć przecież był i jest on naszym pisarzem.

Jednym z najzłośliwiej przemilczanych pisarzy jest Jalu Kurek. Ma on za sobą parę powieści sprzed wojny, które mimo tych czy owych słabości na pewno się mieściły w zdrowym nurcie naszej literatury. Książki te wydaje się teraz, Kurek zresztą pisze nowe, jest w pełnej twórczej aktywności. Spróbujcie jednak policzyć ilu krytyków (i jak?) jego twórczością się zajmowało?

Jak wielu naszych krytyków swoją pracą kwituje takie czy owakie osobiste zobowiązania, jak mało z nich poczuwa się do gospodarskiej odpowiedzialności za całokształt naszej literatury, za każdego jej twórcę!

Mimo wszystko, to nie literatów spotykają najboleśniejsze krzywdy. Jako że rzekto, mogą oni w zasadzie dzieła swoje wydawać, od przemilczania zaś przez krytyków mogą się odwołać do historii. Nie ulega wątpliwości, że rasa Szmatawaczyków wyginie w miarę postępów socjalizmu w naszym kraju i przyszłe pokolenia znawców literatury będą sprawiedliwsze.

Trudniej się wiedzie np. artystom-plastykom. Do niedawna ich dzieje u nas tworzyła walka dwóch konwencji. Konwencji akademickiego pseudorealizmu i konwencji późnopostrimpresjonistycznej. Dopóki te dwie koterie biły się ze sobą, w szparach między nimi mogli jeszcze jakoś istnieć twórcy o własnej wizji malarskiej.

Niestety, zdaje się, że obie konwencje zaczynają ze sobą się dogadywać. Taka zgoda zawsze musi się odbywać czymś kosztem. Tak się boję o wszystko, co nie będzie skrzyżowaniem Krajewskiego z Eibischem.

Bo w malarstwie to nie tylko z rozgłosu może stać się dziełem niesprawiedliwości. Z zakupami, z publikacją także. Biada takiemu malarzowi, który jest oryginalny w doborze własnych błędów, który nie naśladuje słabości uznanych właśnie za obowiązujące!

Ale i malarz może pozostawić po sobie przynajmniej obrazy, rysunki, szkice. Potemność jakoś to rozpatrzy i przekłnie może niejednego z dzisiejszych potentatów tej dziedziny za marnowanie twórczości i



życia zdolnym, oddanym ludowej Polsce artystom.

W gorszej sytuacji znajdują się architekci. Krzywdy, które ich spotykają, nie mogą być w pełni rozpatrzone przez trybunał historii — bo projekt nie jest jeszcze budowlą.

Jednym z częstych braków świeżo budowanych domów jest fatalna wentylacja. Zdaje mi się, że brak ten ma posmak symbolu. Atmosfera w tym środowisku wymagałaby także solidnego przewietrzenia.

Cóż dopiero mówić o filmowcach. W ich tygodniku przeczytałem niedawno wypowiedź Antoniego Bohdziewiczca. Oto jego bilans dziesięciolecia — 1 film zrobiony, 10 scenariuszy, scenopisów itd. — odrzuconych przez CUK.

Co się Bohdziewiczowi zarzuca? Nieumiejętność? Czyżby CUK nazywał dowodem umiejętności to, co najfabrykowal nam ostatnio reżyserzy dopuszczani przezeń do produkcji?

Obcość ideologiczną? Jakże w takim razie można pozwolić Bohdziewiczowi na wykładanie w szkole filmowej? Jego wrogość tu dopiero przecież byłaby naprawdę trująca.

A może po prostu jest to widzi-miś jakiegoś urzędnika, któremu się zdaje, że nie odpowiada. Za krzywdy zadawane przez się — bo to czyni w godzinach służbowych?

Ale najdotkliwsze krzywdy w środowisku twórców kultury spotykają aktorów. Wszyscy inni coś mogą robić, coś po sobie zostawić. Aktor, z winy dyrekcji nie wypuszczony na scenę — skazany jest na śmierć swojej twórczości.

Niestety, znamy niejednego taki przykład. Myślę, że najbardziej o-



burzająca jest historia Ireny Eichlerówny.

Jest ona z pewnością jedną z najwybitniejszych artystek naszej epoki. Jak można sobie wytłumaczyć fakt, że nie znalazło się dla niej miejsca na czołowej scenie polskiej? Jak można zgodzić się z tym, że publiczność warszawska od półtora roku pozbawiona jest okazji oglądania jej na scenie?

Pociągają mnie, że podobność znaleziono wreszcie dla niej rolę. Czyżby to miało znaczyć, że w granych dotąd sztukach nie było roli na skalę jej talentu? Ze wszystkie role kobiece były zbyt mierne, aby ją fatygować?

Obrońcy hepiędactwa tłumaczą jego potrzebę tym, że w naszym ustroju krzywdą nie może trwać długo, że jeśli się nawet dzieje, to wystarczy, by nasze władze dowiedziały się o niej — a zostanie naprawiona.

Oczywiście, jest to słuszne. Władze nasze mają wszelkie możliwości naprawiania krzywd i czynią tak istotnie. Nie zawsze jednak dowiadują się o tym w porę, są zaś krzywdy nie znoszące przewlekania.

Ale samo hepiędactwo z pewnością jest niesłuszne. Lepiej niech dzieją się dramaty na scenie, nau-czy to nas szybciej i skuteczniej usuwać je w życie.